

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 19

Piątek, 20 lutego, 1942.

Cena (Price) 9d.

TREŚĆ:

Sfinks rosyjski — Tadeusz Bielecki
Horyzont wojenny — Zastępca
Zasadniczy problem — Dr. Stanisław Ożga
Lwów i Rzeczpospolita — Marian Emil Rojek
Wilno i Ziemia Wileńska — A. Przecieniewski
Wiersze:
Dublany — Józef Łobodowski
Niepokonani — Józef Łobodowski
Hitler i jego marszałkowie
Pomieszczenie pojęć — N. K.
Komunikat Stronnictwa Narodowego
Noty i uwagi:
Związek Polski i Czechosłowacji
Odezwy Prezydenta Roosevelta

Cienie...
Parę uwag pro memoria
Z prasy i publicystyki:
Realizm i ideologia
Deklaracja w St. James Palace
Echa moskiewskie
Głos żydowski o układzie polsko-czechosłowackim
Konieczność żydowskiej emigracji z Europy
Przyszłość Żydów po wojnie
Przemówienie Sumner Welles'a
Federalizmy i federalizacje
Clemenceau, Foch i Napoleon
Nowa pozycja w literaturze o "Orle"
Sp. Henryk Opieński

Tadeusz Bielecki

SFINKS ROSYJSKI

Odrzucenie Niemców z pod Moskwy i zwycięska kontrofensywa rosyjska na całym froncie oraz obecne niepowodzenia naszych aliantów na Pacyfiku, a ostatnio i w Afryce, przyczyniają się do dużego — często nawet nadmiernego — wzrostu pozycji Rosji w świecie.

Dawniej, zwłaszcza po kampanji rosyjsko-fińskiej, lekceważono wartość armji sowieckiej, dziś istnieje skłonność przeceniania siły naszego wschodniego sąsiada i przypisywania mu ostatecznego zwycięstwa wtedy, kiedy został zrobiony dopiero wstęp do pokonania wroga. Płyńie to stąd, że na zachodzie nie liczne zresztą koła rade by się wyręczyć Sowietami w walce z Niemcami i chętnie widziałyby wkroczenie Rosjan, a nie Anglików i ich sprzymierzeńców, do Berlina. Nie dziw przeto, że sukcesy sowieckie budzą u jednych podziw, u drugich — podziw połączony z niepokojem, u innych wreszcie — przedwczesne, naszym zdaniem, obawy.

Tymczasem kto wie, czy obok znanych już nam czynników, sprzyjających obecnie armji sowieckiej, nie gra głównej roli fakt wdarcia się Niemców głęboko w ziemię rdzennie rosyjską, co zawsze stawiało na nogi cały naród, gdy pochód niedawny na Finlandię, bądź zagrożenie Warszawy i Lwowa w roku 1920, były to wyprawy po — cudze — ziemię, których Rosjanie mają pod dostatkiem.

Jakież bowiem z państw europejskich może się równać pod względem obszaru z Rosją?

Innymi słowy, czy Rosja nie jest czasem straszniejsza wtedy, kiedy się broni, a słabsza wtedy, kiedy atakuje; chyba że ktoś dobrowolnie rezygnuje ze swej niepodległości bądź chce bez walki ustąpić z części swego terytorium państwowego.

Stosunek nasz do Rosji był i jest jasny. Z chwilą kiedy

Sowiety — wbrew swej woli, zaatakowane — starły się z Niemcami, odłożyliśmy na bok nasze stare i najnowsze porachunki i stanęliśmy na gruncie porozumienia z Rosją, — oczywiście nie kosztem naszych najżywotniejszych interesów. Ofiarowywanie czegokolwiek Rosji było zresztą niepotrzebne, ponieważ była ona już w wojnie i jednać jej dla sprawy walki z Niemcami nie trzeba było. Inna zupełnie była sytuacja w latach poprzedzających Wielką Wojnę (1914–1918), kiedy szło o pozyskanie wahaającej się Rosji dla obozu przeciwniemieckiego. Nie będziemy dziś przypominali nazwisk tych Polaków, którzy wówczas zwalczali ten program, a obecnie — na odmiannę — pochwalają zachowanie się Rosji wobec nas i zbyt pochopnie ufają, że Sowiety dążą do odbudowania silnej Polski i swoje zobowiązania traktatowe rzetelnie wykonują.

Dmowski Rosji niczego nie obiecywał poza walką z Niemcami i niczego z naszych praw — wtedy jeszcze, kiedy nie mieliśmy własnego państwa — nie ustąpił. Granica nasza wschodnia, ustalona przez Komitet Narodowy z Dmowskim na czele, biegła dalej na wschód od linii, wytyczonej na mocy Traktatu Ryskiego. I dlatego powoływanie się na Dmowskiego z okazji traktatu polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941 r. nie ma tak samo uzasadnienia, jak zestawianie prac i walk Komitetu Narodowego czasu tamtej wojny z pracami Rządu czasu obecnej wojny. Są to dwie wartości niewspółmierne.

Stronnictwo Narodowe wysunęło w lipcu, w dobie klęsk sowieckich, a więc sytuacji dla Polski wówczas dyplomatycznie korzystniejszej, postulat zwolnienia jeńców i zesłanych oraz wyraźnego uznania przez Rosję naszej granicy ryskiej, co byłoby uniemożliwiło polityce sowieckiej jakiegokolwiek roszczenia terytorialne pod naszym adresem. Opowiadano wówczas,

a i dziś jeszcze ktoś z gorliwszych obrońców traktatu lipcowego — dla ułatwienia sobie zadania — powtórzyć to może, że narodowcy byli przeciwnikami układu z Rosją wogóle. Jest to niezgodne z prawdą, jak to już nieraz wyjaśnialiśmy i świadczy tylko źle o metodach walki naszych przeciwników, którzy w braku innych argumentów posługują się kłamstwami.

Byliśmy i jesteśmy za ułożeniem dobrych, sąsiedzkich stosunków z Rosją i dlatego walczyliśmy o takie sformułowania klauzul traktatowych, które by utrudniały na przyszłość nieporozumienia z Rosją i gwarantowały nam całość naszego terytorium państwowego na wschodzie. Nie jesteśmy bowiem zwolennikami poglądu, że traktaty nie mają większego znaczenia i uważamy, że obowiązkiem polskiej dyplomacji — od tego ją mamy — jest zawierać d o b r e umowy z sąsiadami.

Wzrost znaczenia politycznego Rosji w świecie doprowadził do tego że nie tylko w prasie, jak to było w dobie zawierania i po zawarciu układu z lipca 1941, ale już i w oficjalnych notach rządu sowieckiego ze stycznia 1942 do rządów utrzymujących z Rosją stosunki dyplomatyczne i do Rządu Polskiego traktuje się nasze ziemie wschodnie, zajęte przez wojska sowieckie w roku 1939, jako ziemie wchodzące w skład Z.S.S.R., w szczególności miasto Lwów jako miasto sowieckie. Wydaje się stąd wynikać, iż Rząd sowiecki uważał, że nasze województwa wschodnie zostały przyłączone do Rosji na podstawie swobodnie wyrażonej woli ludności.

Nie będziemy się rozpisywali nad tym, jakie uczucia budzą w sercach Polaków podobne wiadomości, jaki bunt podnoszą przeciw tym, którzy je wypowiadają. Nie kierujemy się w polityce odruchami, nie uważamy, że sowiecka wykładnia traktatu z lipca 1941 przesądza los naszych ziem wschodnich, lub że noty mają moc prawną. Zachowujemy cały spokój, jaki w okresach trudnych winien cechować odpowiedzialnych polityków, ale spokój nie oznacza milczenia bądź uznania roszczeń sowieckich.

Nie ma Polaka, któryby godził się dobrowolnie na oddanie swojej ziemi sąsiadom, a cóż dopiero tak drogich nam ziem, jak Wileńska i Czerwieńska!

Nie znaczy to, abyśmy wzywali do zmiany stanowiska naszego wobec Rosji. W dalszym ciągu jesteśmy za ułożeniem stosunków polsko-rosyjskich ale nie kosztem naszym. Domagać się musimy od rządu zajęcia energicznego stanowiska w tej, tak istotnej dla nas sprawie. Co więcej, twierdzimy, że niepokojące tendencje, jakie się ujawniły w polityce sowieckiej po wizycie premiera polskiego w Moskwie, są niezgodne nie tylko z duchem deklaracji polsko-sowieckiej z dnia 4 grudnia 1941, ale i z głębiej pojętymi interesami Rosji, zarówno z punktu widzenia potrzeb dzisiejszych, jak i jej rozwoju dziejowego.

Sytuacja dzisiejsza wymaga, aby Rosja skoncentrowała całą uwagę w kierunku pobicia Niemiec. Wysuwanie jakichkolwiek roszczeń terytorjalnych pod adresem sąsiadów osłabić może ich wolę walki z Niemcami bądź zmniejszyć nastroje antyniemieckie w krajach, które oficjalnie związały swe losy z państwami osi. Jeżeli Rosja zawiera układy poto, ażeby obcinać terytorjalnie swego alianta, to prowadzić to będzie nieuchronnie do podcinania energii i sprzyjających Rosji krajów w walce z Niemcami. Szczególnie ważna — obok postawy narodów okupowanych pośrednio lub bezpośrednio przez państwa osi — jest w tym względzie pozycja Turcji.

Wysuwanie zatem przez Sowiety żądań natury terytorialnej bądź upieranie się przy — wiadomo jak i w jakich warunkach dokonanych — zaborach będzie miało jeden skutek: rozbrajanie moralne narodów europejskich w walce z Niemcami.

Jeżeli zaś przyjmujemy, że całkowitego pogromu Niemiec nie da się osiągnąć bez rzucenia przeciw nim narodów

europejskich, to jasnym się okaże, jak krótkowzroczne są pretensje sowieckie do zatrzymania w ramach Z.S.S.R. wszystkich zdobyczy terytorjalnych, uzyskanych przed wojną niemiecko-rosyjską.

Rola dziejowa Rosji nie jest w Europie środkowo-wschodniej. Jeżeli Rosja zapędzi się w głąb Europy, stworzy na swoich zachodnich rubieżach zarzewie wiecznych niepokojów i konfliktów; nie stanie się przez to państwem europejskim a odsłoni niebezpiecznie swoje azjatyckie zaplecze. Liczenie na to, że Japończycy będą przez dłuższy czas tolerowali tuż pod boki swoich macierzystych wysp wyciągnięte ramię imperium rosyjskiego w postaci Władywostoku, jest złudne. Jeżeli Rosja chce istnieć jako imperium eur-azjatyckie, a tylko taka Rosja się utrzyma, to nie może z powrotem wchodzić do Europy.

Oddanie jednej gminy polskiej z naszych kresów wschodnich, nie mówiąc już o Wilnie i Lwowie, czyli naruszenie granicy ustalonej Traktatem Ryskim, który był — dobrowolnie przyjętym przez obydwie strony: polską i rosyjską — kompromisem, jest wpuszczeniem Rosji do Europy. Z chwilą, kiedy Rosja przekroczy naszą granicę wschodnią z 1939 roku, nie ma już określonej linii w Europie, na której by się imperialne dążenia rosyjskie zatrzymały. Dodajmy, że wejście Rosji do Europy środkowo-wschodniej zaabsorbuje jej siły w kierunku dla niej drugorzędnym i osłabi jej możliwości realizacji żywotnych zadań wynikających z wielowiekowej historii i z geografii t. j. otwarcia sobie wielkich dróg oceanicznych.

W interesie Rosji nie leży tworzenie zaognień na zachodniej jej granicy. Przeciwnie, Rosja powinna dbać o trwały pokój na zachodzie, ażeby tym łatwiej i pewniej uporać się z burzą, jaka nadciąga ze wschodu. A trwały pokój od zachodniej ściany imperium rosyjskiego może dać tylko uznanie bezapelacyjne przez Sowiety naszej granicy ryskiej.

Nie ma bowiem Polaka, któryby się zgodził na jakiegokolwiek pomniejszanie naszego terytorium państwowego z przed wojny roku 1939. Nie poto rozpoczęliśmy pierwsi najbardziej dla nas morderczą i nierówną walkę przed trzema laty, nie poto krwawiliśmy się i krwawimy, ażeby dopuszczać dyskusje na temat naszych granic. Owszem musimy, nic nie oddając na wschodzie, poszerzyć naszą granicę na północy i na zachodzie, gdyż inaczej nie będzie mocnego państwa polskiego, któreby mogło skutecznie przeciwstawiać się nawale niemieckiej.

Powolywanie się zaś przez stronę rosyjską na plebiscyty nie może być zastosowane wobec naszych ziem wschodnich, gdyż odbyły się one pod naciskiem sowieckich wojsk okupacyjnych. Nie było to zatem "swobodnie wyrażone życzenie zainteresowanej ludności" w rozumieniu Karty Atlantycznej, która nadto w artykule 3 wyraźnie precyzuje, że Anglia i Ameryka "życzą sobie, aby suwerenne prawa i samodzielność państwowa przywrócone zostały tym narodom, którym siłą je odebrano." Nie potrzeba dodawać, że ani Rząd Polski, ani ludność zamieszkująca nasze ziemie wschodnie, nie zapraszali do siebie sowieckich wojsk w gościnę.

Sytuacja byłaby prostsza, gdyby nie to, że pewne koła angielskie, których najjaskrawszym wyrazem był artykuł "Times'a" z 1 sierpnia 1941, nie widzą lub nie chcą widzieć wyraźnie roli Polski w środkowo-wschodniej Europie.

Marzy im się podświadomie obraz dawnej przedrewolucyjnej Rosji, w miarę uporządkowanej, utrzymującej stosunki handlowe z zachodem, mającej "leadership" w Europie, z Polską, jako małym państwem buforowym, oddzielającym przyszłe "dobre Niemcy" od przyszłej zrekonstruowanej Rosji.

Nie podzielały tych złudzeń. Koła historii nie da się cofnąć wstecz ani nawet na dłużej zatrzymać. Rosja Sowiecka przechodzi wprawdzie dziś duże przemiany, przypływ olbrzymi nastrojów patriotycznych, związanych z najazdem Niemców, ale nie można poważnie liczyć na powrót carskiej Rosji. Chcieć zaś przerzucać komunizm z Rosji na zachód — rzecz wysoce niebezpieczna. Byłoby to igranie z ogniem, którego Europie nie życzymy, a czego nie chce również Stanowczo Ameryka. Zresztą, powtarzamy, wejście Rosji do Europy z Kominternem, jako strażą przednią, odrywałoby zniszczoną przez wojnę obecną Rosję od Azji i czającego się tam niebezpieczeństwa, pozostawiając na Dalekim Wschodzie świat anglo-saski sam na sam z Japonią.

Jeżeli tak spojrzymy na położenie międzynarodowe, zarysuje się nam wyraźnie rola Polski w świecie powojennym.

W interesie świata antyniemieckiego leży powstanie wielkiej terytorialnie Polski nie tylko z rozległym dostępem do morza

i poszerzoną znacznie na północy i zachodzie granicą ale i z nienaruszoną granicą wschodnią. Tylko bowiem taka Polska potrafi stać się ośrodkiem siły w Europie środkowo-wschodniej, skupiając dokoła siebie narody sąsiednie, które nie chcą się stać niczym łupem, a stanowić będą razem, zachowując dobre stosunki z Rosją, dostatecznie mocną tamę przeciwko Niemcom.

Wreszcie taka Polska nie może być wzięta w obcęgę przez włączenie do Rosji na północy — Litwy, a na południu pasa ziem polsko-rumuńsko-węgierskich.

Stosunek nasz do Rosji w dobie obecnej dałby się zatem wyrazić, jak następuje: udzielenie przez Sprzymierzonych pełnej pomocy militarnej Rosji, a zachowanie ostrożności politycznej, gdyż w śmiertelnej walce z Niemcami przydadzą się Rosji tanki, a nie oddawanie cudzej ziemi, której Rosja ma dosyć i której w rzeczywistości nie potrzebuje.

Tadeusz Bielecki

HORYZONT WOJENNY

KŁĘSKI Imperium Brytyjskiego na Dalekim Wschodzie są równocześnie klęskami wojennymi wszystkich Sprzymierzonych. Kiedy Japonia rzuciła wielką swoją potęgę do walki na początku grudnia ub. roku, nie wielu tylko zdawało sobie sprawę już wtedy, iż przedłuża to wojnę niesłychanie i odsuwa zwycięstwo w dalszą przyszłość.

Trzeba sobie to uprzytomnić, żeby wiedzieć co to oznacza dla sprawy polskiej. Jeżeli nawet dla Imperium Brytyjskiego koncepcja wojny na przetrwanie przeciwnika i zużycie okazała się w skutkach tak groźna, to cóż dopiero dla Polski, która niszczone jest przez najeżdżące wszystkimi siłami. Nasze kierownictwo wojenne powinno było zawsze bić na alarm przeciw koncepcjom przetrwania, mobilizacji zasobów trwającej długie lata i t. d. I dziś jeszcze trzeba w tym kierunku wpływać na Stany Zjednoczone, jeżeli w ogóle myślimy o tym i jeżeli zapewniliśmy sobie drogi dotarcia do czynników planujących całość działań wojennych.

Upadek Singapore poglądowo przedstawił światu, co znaczy wkroczenie do wojny po stronie Osi potęgi światowej morskiej, która oprócz całego swojego potencjału bojowego, ładowanego od lat, mogła przy tym jeszcze liczyć na zupełny brak wyobraźni wojennej po stronie ustrojów demokratycznych. Upadek Singapore zaczął się w Pearl Harbour!

Komunikacje Oceanu Indyjskiego są zagrożone. Czym one są dla Imperium Brytyjskiego, uświadomić sobie można przy uwzględnieniu faktu, iż Morze Śródziemne jest dla transportów zamknięte. Dziś jednak chodzi już nie tylko o komunikacje Imperium Brytyjskiego, chodzi o komunikacje koalicji Zjednoczonych Narodów: angielskie i australijskie, afrykańskie i holenderskie, amerykańskie i polskie. Tymi drogami żywione są dziś armie brytyjskie na Średnim Wschodzie: Ośma w Libii, Dziewiąta w Syrii i nowo-utworzona Dziesiąta w Iraku i w Iranie. Nigdy dotąd w historii Imperium nie było takiej sytuacji na Oceanie Indyjskim.

Oczywiście w miarę postępu działań i wyczerpywania się składów nagromadzonych w francuskich Indo-Chinach wydłużają się też linie komunikacyjne japońskie, a flota ich koncentrując się na Oceanie Indyjskim odsłania swoją flankę flocie amerykańskiej. Nic jednak pewnego o tych rzeczach powiedzieć nie można, skoro się nie zna ordre de bataille żadnej z nich. Z komunikatów o bardzo pomyślnym zagonie amerykańskim na Wyspy Marshalla, a następnie o przybyciu jednostek amerykańskich do portów Nowej Zelandii, można się domniemywać, że linie komunikacyjne amerykańskie zostały przesunięte głęboko na południe. Stąd może dziennikarskie pogłoski o różnicy zdań między dowództwem holenderskim, domaga-

jącym się stanowczej obrony Jawy, a koncepcjami amerykańskimi oparcia wszystkich przyszłych operacji wojennych o Australię.

Obserwator pisał już na tym miejscu w "Myśli Polskiej", że wkroczenie do wojny Japonii zmienia całą niemiecką koncepcję wojny. Czas "pracuje" zawsze na korzyść potęgi morskiej, więc Niemcy dążyli do wojny krótkiej: błyskawicznej. Gdy ta nie dała rezultatu, przedsięwzięły kampanię sowiecką, która miała im pozwolić na zaopatrzenie się w zasoby materialne do wojny długiej i miała im dać bezpieczeństwo od wschodu. Kiedy wyprawa przeciw Sowietom nie tylko im tych wyników nie dała, ale nawet — przy stale płynącej pomocy materiałowej państw anglosaskich dla Sowietów — grozi im klęską na lądzie, uratowała ich na czas dłuższy — zapewne — Japonia. Teraz już szanse zostały wyrównane. I teraz widoczne są posunięcia niemieckie, przedstawiające strategię niemiecką na inne wymiary.

Do tych posunięć należy śmiało przerzucenie jednostek floty, dotąd uwięzionych w Brest, na Morze Północne. Razem z siłą wprowadzonych już zapewne do służby dwu dalszych pancerników klasy Bismarcka i nowo wybudowanymi jednostkami lżejszymi, eskadra z Brestu reprezentuje teraz jakby opancerzoną pięść Admiralicji niemieckiej, która może być użyta zarówno do ataku, jak i do obrony, gdyby np. Anglicy i Amerykanie mieli przedsięwziąć większą akcję wiosenną na Norwegię. Ten samym celem służą rekonesansowe i niszczyielskie zagony całych zespołów dalekosieżnych niemieckich łodzi podwodnych wzdłuż wybrzeży amerykańskich.

Wpływ wkroczenia Japonii do wojny dał się odczuć i na Morzu Śródziemnym. Naszym zdaniem wolno przypuszczać, że w tym rejonie morskim nie tylko flota włoska wyleczyła się częściowo z ran zadanych jej w Taranto i pod Matapanem, ale równocześnie eskadra Cunninghama mogła uleść osłabieniu na rzecz innych obszarów operacyjnych.

Opinia świata brytyjskiego i Stanów Zjednoczonych wstrząśnięta została wiadomościami o klęskach na Dalekim Wschodzie. Uczucie załamania się ustalonych pojęć pogłębione zostało przez przedarcie się Niemców przez Kanał, co nie udało się nikomu od setek lat. Więc stąd dyskusje i zaciekle nawet polemiki. Amerykański dziennikarz Brown przez radio głosi bezwzględna krytykę Brytyjczyków na Dalekim Wschodzie, premier kraju kanadyjskiego Ontario, p. Hepburn, w przemówieniu publicznym woła, iż wskaże płk. Knoxowi, gdzie jego flota może znaleźć Japończyków, szukając z nimi kontaktu. W Wielkiej Brytanii głosy krytyczne domagają się m.i. oddzielenia urzędu Premiera od Ministra Obrony, stary zaś żeglarz i wojownik admirał Keyes wytyka odebranie flocie przed

dwudziestu laty jej własnych wojsk powietrznych. Są wreszcie liczne poważne głosy, wskazujące na politykę poprzednich rządów, zarządzających wyścig z Ameryką co do uzbrojenia na morzu . . .

Nie ulega wątpliwości, że przyczyny klęsk tkwią głęboko w latach ubiegłych i że dzielą je z rządami również ciała przedstawicielskie i organizatorzy opinii publicznej — a w ich rzędzie świat umysłowy anglosaski i prasa. Mrzonki o uzbrojeniu, zasilanie materialne Niemiec i Japonii, wprowadzanie w błąd społeczeństw co do rozumienia zjawisk w świecie, mszczą się dzisiaj na strategii. Te same żywioły, które przed wybuchem wojny wyśmiewały hasło niemieckie „armaty zamiast masła”, niedawno zapewniały nas, że Japończycy źle latają, bo mają słaby wzrok oraz że wojna w Chinach wyczerpała Japonię.

Trzeba sobie wreszcie zdać z tego sprawę, że bogactwami niemobilizowanymi nie wygra się wojny. Nie wystarczy mówić: po naszej stronie jest cztery piąte całej ludzkości, lub 80 proc. zasobów materialnych świata. Dwadzieścia dywizyj na Malajach, dobra broń, przeciwpancerna przynajmniej, tysiąc samolotów i dobra eskadra floty wojennej wraz z dostatecznym lotnictwem osłony, znaczyłyby o wiele więcej, niż wszelkie bogactwa w bankach, safesach i na plantacjach. Po stronie silniejszych batalionów znajdzie się również zawsze dobra propaganda.

Trzeba bowiem raz ostatecznie przypomnieć sobie i pamiętać prawo podstawowe, że sama masa nie daje jeszcze siły. Dopiero współczynnik masy pomnożony przez współczynnik szybkości daje obliczenie siły. Znaczy to nie tylko, że masa koalicji Zjednoczonych Narodów nie stanowi jeszcze siły, ale że o wiele mniejsza masa Osi wprawiona w szybki ruch może się stać większą siłą.

Wszystko zaś ożywia duch. Dlatego tak ważna jest teraz sprawa jedności wewnętrznej w świecie anglosaskim i zrozumienie przez ten świat istoty zmian. Nie tylko nadmierna ilość granic w Europie Środkowej była przyczyną tej wojny, ale takie zjawiska m.i. jak Arkadia australijska!

Jeżeli można w tych twardych czasach pozwolić sobie na moment uczucia, to trzeba chwilę pomyśleć przyjaźnie o żołnierzach imperialnych, którzy znaleźli się w niewoli japońskiej. Jeszcze raz się okazało, że sama dzielność nie wystarczy przeciw lepszemu uzbrojeniu i przygotowaniu. Polacy rozumieją to bardzo dobrze.

*

Niespodzianki kampanii libijskiej są zapewne skutkiem niedostatecznego wsparcia skrzydeł od strony morskiej. Ma to znaczenie dla obu stron. Oczywiście nie wyczerpuje to zagadnień tej kampanii. Można zresztą powiedzieć, że okazuje ona, w jaki sposób wojna ruchowa może być również wojną na zużycie. Pod tym względem wyniki brytyjskie są nie do pogardzenia.

*

Na froncie rosyjskim Niemcy zaskoczeni strategicznie przecignięciem się działań do zimy i wprowadzeniem rezerw sowieckich, oraz taktycznie sowieckimi sposobami wojowania w zimie, postanowili poświęcić pewne oddziały dla wyciągnięcia z linii bojowej reszty i dania jej odpowiednich warunków przetrwania. Postanowili oni walczyć jaknajmniej w tych warunkach, ale sprzedawać teren jak najdrożej. Koncepcją sowiecką było natomiast walczyć w zimie jak najwięcej, odepchnąć wroga jak najdalej i upuścić mu krwi jak najwięcej. Żadna z koncepcyj nie zwyciężyła. Niemcy naogół utrzymali zdobycze terytorialne, wojska sowieckie poprawiły sytuację terenową w swoich rejonach zagrożonych poważnie, równocześnie zaś spowodowały znaczne zużycie frontowych wojsk niemieckich i czasem rezerw. Obie strony przygotowują się poza frontem gorączkowo do wiosennych działań wojennych. Rezerwy sowieckie są olbrzymie, wysyłka uzbrojenia brytyjskiego dla Sowietów osłabiła Imperium na innych frontach, za to zawiodły przesyłki amerykańskie — jak dotąd. Zobaczymy.

Duże sukcesy natomiast odniosła propaganda sowiecka, która starała się uwypuklać powodzenia sowieckie na tle niepowodzeń amerykańskich i brytyjskich.

Zastępca

Dr. Stanisław Ozga

ZASADNICZY PROBLEM

OGŁOSZONA 14 sierpnia 1941 r. „Karta Atlantycka” formułując, jakkolwiek w bardzo ogólnym tylko zarysie, wytyczne idee polityki świata anglosaskiego, wywołała już szereg interesujących wypowiedzi ze strony wybitnych polityków i ekonomistów co do przyszłej konstrukcji zarówno politycznej jak i gospodarczej Europy, oraz wyznaczanej w niej roli Niemiec. Opinie te reprezentują całą gamę poglądów, poczynając od stwierdzeń, iż przyszłe Niemcy winne być traktowane narówni z innymi, a więc obecnie przez nich bezlitośnie gnębionymi narodami, aż do opinii, iż tylko całkowite rozbrojenie Niemiec nie tylko polityczne ale i ekonomiczne oraz moralne, może stworzyć gwarancje długoletniego pokoju, a więc warunków koniecznych do uzdrowienia skrwawionej i zupełnie wyczerpanej Europy. Ten wielki wachlarz wypowiedzianych poglądów — możliwy tylko dzięki bardzo ogólnym sformułowaniom Karty Atlantyckiej — dał możliwość zorientowania się w stanowisku jakie wobec tego tak życiowego dla nas zagadnienia — rozbrojenia Niemiec — oraz ściśle łączącej się z tym sprawy odszkodowań, zajmują w chwili obecnej przedstawiciele różnych kierunków myśli politycznej i ekonomicznej.

Jest rzeczą niewątpliwą, iż u wielu wybitnych polityków i ekonomistów angielskich tkwi głęboko jeszcze wiara w możliwość rozwiązania problemu przyszłych Niemiec w drodze opanowania tam władzy przez elementy umiarkowane, liberalne, pozbawione imperialistycznych ambicji, cechujących sfery

rządzące od co najmniej lat dwustu. Jakkolwiek nonsensowne by było zaprzeczanie istnienia w ogóle tego rodzaju Niemców, to jednak z całą stanowczością można stwierdzić, iż są to tylko jednostki, względnie drobne tylko grupy, oderwane zupełnie od bieżącego nurtu życia narodu niemieckiego i jako takie nie mające najmniejszego wpływu na rozwój wypadków. Budowanie na tych elementach przyszłych koncepcji, to opieranie ich na „wishful thinking”, niesłychanie niebezpieczne dla przyszłości Europy.

Poczucie rzeczywistości wskazuje inne drogi dla rozwiązania zadania jaką winna być rola Niemiec w przyszłej społeczności wolnych narodów. Cel jest jeden — organizacja kontynentu europejskiego tego rodzaju, by gwarantowała spokojny polityczny i gospodarczy rozwój wszystkich narodów przez dłuższy, co najmniej kilkudziesięcioletni okres czasu. Conditio sine qua non realizacji tego celu to odebranie Niemcom możliwości stałego niszczenia dorobku cywilizacyjnego i kulturalnego innych narodów europejskich — a zatem całkowite ich rozbrojenie.

Zagadnienie rozbrojenia, które przy rozpatrywaniu z politycznego punktu widzenia spotyka się z powszechnym rozumieniem jego konieczności, jest przedmiotem rozbieżnych częstokroć opinii u ekonomistów, zastanawiających się nad technicznym sposobem jego dokonania. Że stanowisko ekspertów gospodarczych posiada tu ogromny ciężar gatunkowy

nie potrzeba chyba specjalnie wyjaśniać, gdyż zrozumienie znaczenia przemysłu dla nowoczesnej wojny jest powszechne. **Rozbroić Niemcy to znaczy odebrać im potężny ich przemysł ciężki, a tym samym zasadniczo zmienić dotychczasową ich strukturę gospodarczą.** Zadanie zaiste bardzo trudne, tak trudne, że niejednokrotnie uważane jest za nie do zrealizowania. Że jednak niema w życiu gospodarczym problemów nierozwiązalnych wykazały doświadczenia różnych państw, a zwłaszcza właśnie Niemiec, w ciągu okresu pomiędzy obu wojnami światowymi. Czyż np. uwierzyłby ktoś w 1930 r., że Niemcy właśnie po zamknięciu im wszelkich źródeł kredytu międzynarodowego, zdołają stworzyć maszynę wojenną jakiej świat dotychczas nie widział i że w ciągu 4 do 5 lat opanują prawie całkowicie gospodarczo, a co za tym idzie i uzależnią od siebie politycznie, całą prawie południowo-wschodnią i środkową Europę?

Twierdzenie, że Niemiec gospodarczo rozbić się nie da, wywodzi się z tych samych metod rozumowania, które jeszcze w 1938 r. a nawet 1939 r., dowodziły niemożliwości prowadzenia wojny totalnej, opierając swe argumenty na bardzo przekonujących cyfrowo obliczeniach. Przecież — liczono — tysiąc kilometrowy front wymagać będzie tyle a tyle ludzi i tyle a tyle karabinów maszynowych, dział takiego i takiego typu, a dalej taką ilość tanków, samolotów i t.p.; straty miesięczne będą przypuszczalnie wynosiły taki a taki odsetek samolotów, dział, tanków, karabinów maszynowych i t.p. a zatem potrzeba będzie miesięcznie tyle a tyle ton stali, miedzi, benzyny, węgla, betonu, energii elektrycznej i t.d. i t.d. W wyniku tego rodzaju precyzyjnych obliczeń dochodzono do konkluzji, iż jeśli państwo jakieś zechce prowadzić wojnę defenzywną, to sam jego przemysł zbrojeniowy wymagać będzie stałego zatrudnienia 52 miln.* robotników, a przy wojnie ofenzywnej 82 miln. robotników. Logicznym następstwem tej konkluzji było stwierdzenie, iż żadne z państw na tak znaczny wysiłek nie jest w stanie się zdobyć, a więc i obawy wojny totalnej istnieją tylko w głowach laików. Rzeczywistość innym jednak potoczyła się torem i znów wykazała niebicie, że nowe problemy wymagają nowych form ujęcia. Dlatego też i zagadnienie rozbrojenia gospodarczego Niemiec, będące niewątpliwie punktem wyjścia dla przyszłej reorganizacji Europy — wymaga nowych metod rozwiązania. Przeszłość w tym wypadku to raczej balast, niż nauka, a zatem raczej tylko przestroga czego robić nie należy, a nie wzór do naśladowania.

Jest rzeczą oczywistą, iż w obecnej chwili, kiedy oddaleni jeszcze jesteśmy od końca wojny, a zatem nie znamy wielu istotnych elementów, trudno konstruować szczegółowy plan gospodarczej przebudowy Niemiec. Bieg wypadków wojennych, a zwłaszcza działalność R.A.F.*u może tu spowodować daleko idące zmiany w obecnym stanie przemysłu niemieckiego. Dziś już jednak winno się dokładnie zdać sobie sprawę co uważać należy za konieczne do dokonania, by rozbrojenie gospodarcze Rzeszy stało się faktem realnym i jakie środki należy stosować by powyższy cel osiągnąć.

Rozważając zagadnienie przebudowy gospodarczej struktury zwyciężonych Niemiec, podwójny zatem cel trzeba mieć na oku: po pierwsze polityczne ich osłabienie, po drugie gospodarcze wzmocnienie państw sąsiadujących, przez zapewnienie im w drodze odszkodowań rekompensaty za zniszczenie i poniesione straty. Wzmocnienie polityczne państw sąsiadujących z Niemcami będzie już konsekwencją pomyślnej realizacji tego rodzaju planu.

Rozbrojenie zatem musi być rozumiane w znacznie szerszym zakresie, niż to miało miejsce w Traktacie Wersalskim. Wtedy to narzucone przez zwycięskie państwa warunki wymagały wydania przez Niemcy uzbrojenia, zniszczenia obiektów ufortyfikowanych oraz zaprzestania produkcji pewnych określonych rodzajów sprzętu wojennego powyżej oznaczonych ilości, natomiast cały potężny przemysł, stanowiący podstawę siły militarnej Niemiec pozostał w swej substancji nienaruszony i w odpowiedniej chwili okazał się w pełni gotowy do wykorzystania. Nie można oczywiście winić twórców Traktatu, iż nie przewidzieli przyszłego biegu wypadków. Byłoby natomiast karygodną lekkomyślnością i błędem nie do przebaczenia

zlekceważenie dawnych, tak bardzo bolesnych doświadczeń i nie wyciągnięcie z nich należytych wniosków.

Trzeba zdać sobie w pełni sprawę, iż kardynalnym warunkiem przyszłego pokoju europejskiego jest pozabawienie pokonanych Niemiec możliwości podejmowania jakichkolwiek prób odbudowania zniszczonej maszyny wojennej. Nie należy zostawić im ani cienia złudzenia, że to w przyszłości jest do osiągnięcia możliwe, inaczej bowiem wysiłek całego narodu będzie niewątpliwie koncentrować się w tym właśnie kierunku, a horyzont polityczny świata znów zacznie pokrywać się ciemnymi chmurami, zwiastującymi zbliżanie się nowej burzy. Na to nie tylko Europa ale i inne również kontynenty nie mogą sobie pozwolić. I dlatego właśnie całkowite zniszczenie niemieckiego przemysłu wojennego jest koniecznością, wobec której nie wolno się cofnąć.

Pojęcie przemysłu wojennego w obecnej totalnej wojnie jest oczywiście trudne do ścisłego zdefiniowania, niewątpliwie jednak pod tym terminem należy rozumieć przemysły kluczowe, zasadnicze dla wysiłku zbrojnego. W pierwszym zatem rzędzie całkowitemu zniszczeniu ulec musi przemysł zbrojeniowy najszerzej pojęty, a w dużej mierze i przemysł maszynowy wytwarzający obrabiarki, niezbędne dla działalności jakiegokolwiek gałęzi produkcji. Oba te właśnie przemysły, ogromnie rozbudowane w Niemczech, pozwoliły im w latach trzydziestych na niezwykle szybkie odbudowanie potężnej armii.

Przemysł wszelkiego rodzaju namiastek umożliwiający zastąpienie licznych brakujących, a niezbędnych surowców, podobnie jak potężny a w obecnej wojnie tak ogromne posiadający znaczenie przemysł chemiczny, muszą również ulec w znacznej mierze likwidacji.

Likwidacja "niebezpiecznych przemysłów" winna być dokonana w pierwszym rzędzie przez wywiezienie do innych krajów nadających się tam do użycia urządzeń fabrycznych odpowiednich przedsiębiorstw przemysłowych niemieckich, następnie zaś przez zniszczenie całkowite gmachów oraz takich urządzeń, które do wywiezienia się z tych czy innych powodów nie nadają.

Tego rodzaju unicestwienie pewnych obiektów przemysłowych nie rozwiąże jednak zagadnienia bezpieczeństwa Europy à la longue. Rozbrojenie gospodarcze więc, jeśli ma na dłuższy przeciąg czasu osłabić Niemcy, musi sięgać głębiej, do korzeni niejako przemysłu ciężkiego, a więc dotknąć hutnictwa stali i metali lekkich oraz energii elektrycznej. Tylko radykalne obniżenie produkcji w tych dziedzinach może zepchnąć ciężki przemysł niemiecki na poziom nie groźny przez okres 20 do 30 lat dla państw sąsiadujących.

Zagadnienie kontroli importu surowców do Niemiec to również problem "życiowy" dla przyszłego pokoju świata. Tylko ścisłe ograniczenie przywozu zarówno pod względem ilościowym jak i jakościowym oraz związanie Niemiec z rynkami zamorskimi, a tym samym uzależnienie ich od bardzo odległych źródeł zaopatrzenia w surowce, może utrudnić szybką odbudowę przemysłu wojennego. "Ożywione" stosunki handlowe pomiędzy Trzecią Rzeszą a państwami południowo-wschodniej Europy w latach poprzedzających obecną wojnę, doprowadziły w bardzo krótkim stosunkowo czasie do zupełnego uzależnienia tych państw nie tylko pod względem gospodarczym ale i politycznym od potężniejszego kontrahenta. Jedynie trwałe gospodarcze uniezależnienie się państw bałkańskich i środkowo europejskich od rynków niemieckich może zapobiec na przyszłość powtórzeniu się tej "bezkrwawej inwazji", której nie tak dawno temu byliśmy świadkami.

Realizacja tak pojętego gospodarczego rozbrojenia Niemiec jest niewątpliwie zadaniem ogromnie trudnym do rozwiązania, wymagającym uwzględnienia tych wszystkich elementów zarówno politycznych jak i gospodarczych, które przy tego rodzaju przebudowie struktury gospodarczej Niemiec w grę wejdą.

Zagadnieniem wymagającym w pierwszym rzędzie poświęcenia mu baczonej uwagi jest kwestia zatrudnienia sił roboczych, które po likwidacji pewnych gałęzi przemysłu stracą swe warsztaty pracy i jako ogromna masa bezrobotnych zaciągną nad życiem gospodarczym Niemiec, tworząc źródło fermentu tak społecznego jak i politycznego. Problem ten, jakkolwiek ogromnie skomplikowany, nie przedstawia jednak trudności nie do pokonania. Podchodząc z gospodarczego czysto punktu

* Obliczenia z książki Stephan Te. Possony: "Die Wirtschaft des totalen Krieges," wydanej w 1938 r., a tłumaczonej na kilka języków.

widzenia, należy zaznaczyć, iż zniszczenie produkcji wojennej nie spowoduje samo przez się gwałtownej, a więc i bardzo niebezpiecznej, pauperyzacji ludności; produkcja ta bowiem nastawiona obecnie na wytwarzanie dóbr całkowicie pozabawionych znaczenia gospodarczego, stanowi olbrzymie obciążenie społeczeństwa, przekraczające kwotę 12 miliardów marek rocznie. W wypadku zatem gdyby przeszło 4 milionowa masa robotników z przemysłów zbrojeniowych pozostała zupełnie bez pracy, bardzo wysokie nawet zasiłki wypłacane tym bezrobotnym byłyby mniejszym obciążeniem społeczeństwa niemieckiego, niż obecne świadczenia wojenne. Gdyby taki stan utrzymywał się przez dłuższy czas, musiałby wywołać w konsekwencji spadek obrotów gospodarczych a tym samym i osłabienie tempa działalności we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, następstwem czego byłby dalszy wzrost bezrobocia i postępująca pauperyzacja ludności. Jakkolwiek byłaby to nie wątpliwie jedna ze skutecznych metod osłabienia zarówno gospodarczego jak i militarnego Niemiec, jednakże ze względu na wiążące się z nią niebezpieczeństwo możliwości zaburzeń politycznych nie można jej uznać za właściwą.

Należy również wziąć pod uwagę fakt, iż dotknięte bezrobociem masy robotnicze zwróciłyby się bez wątpienia o pomoc do świata pracy w państwach zwyciężczych w myśl hasła wspólnoty klasowej — „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Że taki apel znalazłby oddźwięk bardzo żywy, a zarazem groźny dla realizacji pełnego rozbudzenia gospodarczego, nie potrzeba chyba udawadniać.

Zagadnienie zatrudnienia nadmiaru niemieckich sił roboczych po wojnie musi zatem już obecnie ulec dokładnemu przemysłowi. Jednym z możliwych tu rozwiązań jest skierowanie pewnej części ludności pracującej obecnie w przemyśle do rolnictwa, które zakrojone teraz na miarę *Herrenvolk'u* mogłoby po przeprowadzeniu odpowiedniej reformy rolnej wchłonąć około 3 do 4 milionów ludzi. Wywołałoby to co prawda wzrost zagęszczenia ludności pracującej na roli, dochodzący do 70 osób na km², wzięwszy jednak pod uwagę, iż zagęszczenie w Polsce wynosiło 85 osób na km², można uznać ten sposób rozwiązania za posiadający szanse realizacji. Nie rozwiąże to jednak całkowicie kwestii uniknięcia bezrobocia, zwłaszcza, iż przy rozważaniu tegoż problemu należy uwzględnić również ludność wysiedloną z tych ziem, które po wojnie zajęte zostaną przez państwa, zdecydowane na usunięcie ze swego terytorium mniejszości niemieckich. Koniecznością będzie zatem zatrudnienie tych mas ludzkich w przemysłach konsumpcyjnych, które dzięki temu ulegną zapewne pewnej rozbudowie. Wysuwane nie jednokrotnie obawy, iż skierowanie sił roboczych z przemysłu zbrojeniowego-będącego jedynie obciążeniem gospodarstwa — do pełnowartościowych pod względem ekonomicznym przemysłów konsumpcyjnych, podwyższy jeszcze poziom życia ludności niemieckiej, a tym samym zwiększy istniejącą obecnie w stosunku do krajów sąsiadujących różnicę, o tyle nie powinny mieć zasadniczego znaczenia, iż bez wątpienia zostaną nałożone na Niemcy okresowe kontrybucje, których jednym z zadań musi być niedopuszczenie do tego rodzaju paradoksalnej sytuacji. Zapewne z politycznego punktu, widzenia tego rodzaju rozwiązanie jest odległe od ideału, powoduje bowiem tylko pewne przesunięcia w strukturze gospodarczej Niemiec, nie zmieniając jej całkowicie, niewątpliwie jednak zrealizowanie ich spowoduje rozbudzenie Niemiec w rozmiarach zapewniających utrzymanie pokoju przez długi szereg lat. Jakkolwiek bowiem w obecnej totalnej wojnie każda gałąź przemysłu może być w pełni dla wysiłku zbrojnego wykorzystana, to jednak całkiem inny ciężar gatunkowy posiada przemysł ciężki, niż np. koronkarski czy nawet konfekcyjny. Z ostatnich doświadczeń choćby amerykańskich jest w pełni widoczne jak wiele czasu musi stracić tak olbrzymi nawet przemysł, jak Stanów Zjednoczonych, na przestawienie się z produkcji pokojowej na wojenną.

Zastanawiając się nad zagadnieniem rozładowania tego kotła pod wysokim ciśnieniem — jakim są Niemcy — na kontynencie europejskim, widzimy jedno jeszcze wyjście, któreby mogło wprowadzić radykalnie załatwić ten stale aktualny problem, wydaje się jednakże, w obecnym stanie nastrojów psychicznych większości narodów walczących po tej stronie barykady, nie do zrealizowania — przymusową emigrację na wielką skalę ludności niemieckiej. Niewątpliwie istnieje jeszcze na świecie olbrzymie a bogate często przestrzenie o bardzo słabym sto-

sunkowo zaludnieniu, które mogą łatwo wchłonąć wielomilionowe rzesze kolonistów. Trudność jednak tkwi w tym, że państwa dysponujące tego rodzaju obszarami, nauczone smutnymi doświadczeniami związanymi z działalnością „V kolumny”, nie zechcą przyjąć do siebie emigrantów niemieckich. Jakkolwiek nie może budzić żadnych wątpliwości twierdzenie, iż rozsiadane po licznych zamorskich krajach drobne stosunkowo skupienia ludności niemieckiej, są znacznie mniej niebezpieczne dla pokoju świata niż pokonana wprawdzie, jednakże pełna nadal ekspansywności siły — bo przeludniona — ich metropolia europejska, to jednak wyciągnięcie z tego faktu konsekwencji przez zamorskie państwa nie wydaje się prawdopodobne.

Większe szanse urzeczywistnienia może mieć natomiast koncepcja przymusowej emigracji pewnych warstw intelektualnych Niemiec, jak np. profesorów politechnik i uniwersytetów, inżynierów, różnego rodzaju specjalistów i t.p., owocem pracy których jest obecna potęga państwa niemieckiego. Przesiedlenie tych ludzi w inne środowiska da możliwość wykorzystania ich intelektu dla dalszego rozwoju kultury i cywilizacji świata, a nie dla jej niszczenia, jak to ma miejsce w szeregu dziesiątków lat ostatnich. Emigracja przymusowa Niemców to dla większości państw alianckich problem niepopularny, pominięcie jednak tego zagadnienia w planach nowej organizacji świata z góry przekreśla możliwość przeprowadzenia radykalnych, a więc i niezbędnych zmian, w obecnym stanie rzeczy.

Realizacja tak pomyślanego rozbudzenia gospodarczego Niemiec wymaga oczywiście zaistnienia odpowiednich warunków politycznych — a więc w pierwszym rzędzie pełnego zwycięstwa militarnego Aliantów, a następnie objęcia przez nich aparatu rządowego oraz okupacji wojskowej przez dłuższy, nawet kilkuletni, okres czasu.

Konieczność takich posunięć znajduje już zrozumienie i wśród realnie patrzących w przyszłość polityków i ekonomistów brytyjskich. Pół-oficjalne wydawnictwo „Planning” (Political and Economic Planning) w zeszycie z lipca ub. r., poświęconym przyszłości Niemiec i ich stosunkowi do Europy, stwierdza, iż „wydaje się wysoce prawdopodobne, że po zwycięstwie musi nastąpić czasowe opanowanie władzy rządowej w Niemczech przez Aliantów . . .”, przy czym zaznacza, że „objęcie aparatu rządowego musi nastąpić jak najszybciej, by zmniejszyć do minimum okres pomiędzy załamaniem się Partii Narodowo-Socjalistycznej, a przywróceniem normalnych stosunków politycznych. W ten sposób usunięta zostanie potrzeba zawierania zawieszenia broni, które zakłada ciągłość władzy rządu reprezentującego zwyciężonych . . .” „Rozważanie zagadnień ekonomicznych prowadzi do podobnych konkluzji”.

Nie można niedoceniać tak zdecydowanie i niedwuznacznie sprecyzowanego stanowiska, będącego z pewnością wynikiem doświadczeń z 1918 r. Objęcie aparatu rządowego i okupacja wojskowa Niemiec przez państwa alianckie, to nie tylko możliwość ingerencji we wszystkie dziedziny życia zwyciężonych, a więc i możliwość czuwania nad realizacją podyktowanych ubezwzględniomemu przeciwnikowi warunków, ale również widoczny dla ludności niemieckiej dowód rozwiania się światoburczych marzeń. Wobec słabej stosunkowo odporności psychicznej narodu niemieckiego w chwilach niepowodzeń, może stanowić to wstrząs nerwowy, który zaważy na całej jego przyszłości.

I jeszcze jedna uwaga o znaczeniu zasadniczym. Rozbrojenie Niemiec, choćby, dokonane w najszerzym nawet zakresie, nigdy samo przez się nie może stanowić gwarancji dla przyszłego pokoju świata. Patrząc dalej w przyszłość trzeba głównie położyć nacisk na wzmocnienie zarówno polityczne jak i ekonomiczne innych — a zwłaszcza sąsiadujących z Niemcami — narodów. Tylko ich siła może stanowić trwałą zaporę dla ekspansji teutońskiej. Rozbrojenie Niemiec to zrównanie niejako startu, dalszy bieg wypadków zależy już tylko od dynamizmu narodów środkowej i południowo-wschodniej Europy. Doświadczenia okresu dwudziestu lat pomiędzy obu wojnami wykazały, iż narody te posiadają wszelkie kwalifikacje po temu by — po usunięciu ciężającej nad nimi dotychczas stale przyniatającej przewagi Niemiec — osiągnąć w ciągu dwudziestu do trzydziestu lat taki stopień siły, że możliwość ponownego odrodzenia się idei *Herrenvolk'u* raz na zawsze zostanie z planów politycznych narodu niemieckiego wymazana.

Stanisław Ożga

Marian Emil Rojek

LWÓW I RZECZPOSPOLITA

Gdyby ktokolwiek zapytał jakiegokolwiek Polaka, czy sprawa przynależności do Polski Lwowa i ziem, które ku temu miastu ciąży, jest dla nas sprawą istotną, sięgającą w głąb bytu narodowego, czy też tylko sprawą taktyki i atutu politycznego, — otrzymałby odpowiedź jednakową: Lwów i Małopolska Wschodnia — ta Ziemia Czerwieńska naszej starożytności — związane są z Polską na zawsze, a gdyby kiedykolwiek przemocą lub podstępem zabrane zostały, naród cały nigdy nie przestanie walczyć o ich powrót do Macierzy.

Lwów i Małopolska Wschodnia! Grody Czerwieńskie! Ileż nazw, jaka bogata historia! We wszystkich jednak okolicznościach jedno jest pewne i niezmiennie: to jest ziemia polska.

— Panowie, tu nie ma Ukrainy, tu jest Polska, tu jest już od sześciuset lat Polska . . . — tłumaczył we Lwowie, w jesieni 1939 roku — jak się o tym dopiero teraz dowiadujemy — pewien literat lwowianin gronu ludzi pióra z innych miast polskich, których kuszone na różne sposoby.

— Tu jest już od sześciuset lat Polska i tylko ten, kto przestaje być Polakiem, mógłby twierdzić inaczej. . . .

Szanowny Panie, o którym nie wiem, czy żyjesz jeszcze i w jakich warunkach. Powiedział Pan to bardzo pięknie, wręcz klasycznie na tle ówczesnych zdarzeń. Nie trzeba nic dodawać do Pańskiego powiedzenia. Dla pogłębienia tylko naszej wiedzy o nas samych wspomnijmy, że i przed sześciuset laty była tam Polska, zakrywana od czasu do czasu falami podboju. Najnowsze badania slawistyczne wykazują, że już w czasach starożytności słowiańskiej, kiedy historii nie spisywano jeszcze w kroniki klasztorne, lecz znaczone ją innymi, nie mniej wymownymi, pomnikami — obszar czerwieński zamieszany był przez plemiona lackie, po których tam tyle nazw miejscowości zostało. Od tych to plemion i od tych to nazw: Lackie, Laszki Książęce, Laszki Murowane i tyle innych, nazwali Polaków Lachami nie tylko Ruś w tych stronach, lecz i Węgrzy, w których języku to do dziś dnia pozostało, — później — Turcy. Starożytna i ginąca w pomrokach dziejów nazwa Przemyśla jest zupełnie jasna w języku polskim, niemożliwa lingwistycznie w ruszczyźnie. Inne najważniejsze historycznie miasta są już znanej fundacji polskiej: Lwów Kazimierza Wielkiego, topograficznie i populacyjnie odrębny od grobu Lwa Danielowicza, Tarnopol Jana Tarnowskiego, mający ten sam herb co Tarnów: Leliwa, Stanisławów Rewery-Potockiego czy nawet Kołomyja Węgra Kolomana ożenionego z Piastowicówną.

Nie będziemy tu przechodzić kolejno całej historii tych ziem. Kronikarz kijowski świadczy wyraźnie, że to Rurykowicze zaczęli podbijać ziemie lackie, a nie naodwrot. "I poszedł Włodzimierz w roku 983 na Lachy i zajął grody ich Przemyśl, Czerwień i inne." Rurykowicze byli zresztą wtedy jeszcze raczej Waregami z za morza, niż Rusinami, i podbicie przez nich grodów czerwieńskich było wyrazem ich polityki piratów łądu niż polityki plemienną. Idąc z północy na południe, uchwycili na pogranicznych ziemiach polskich stacje handlowo-wojenne, które im dawały granicę z Węgrami i drogę do zachodniej Europy. Zresztą Lachowie ziem swoich nie zapominali i już Bolesław Chrobry odzyskał to, co Mieszko Pierwszy był utracił.

W tym wielkim młynie zdarzeń pierwszego tysiąclecia naszej historii niezmienna była zawsze wierność polska dla tej ziemi i polska gościnność dla uciśnionych, głodnych i szukających pomocy. W okresie najazdów mongolskich ogromna tala Rusinów opuszczała rodzinne kraje bezleśnego stepu

Ukrainy i Podola i szukała schronienia w lasach i puszczech ziemi czerwieńskiej i Karpat (Koriatowicz w wieku XIV), wzmacniając tam liczebnie istniejące już osiedla Słowian Wschodnich, współżyjących z ludnością polską od wieków. Równocześnie zaś, choć w sposób mniej widoczny, plemiona pasterzy wołoskich, koczownicze do późnego średniowiecza, wędrowały nie troszcząc się o istniejące granice królestw i księstw od gór Tajgetu i Epiru w Grecji poprzez całe Bałkany i Siedmiogród i przenikały masowo wzdłuż Karpat na zachód aż do Beskidów Śląskich. Wszystkim tym żywiołom — wspomnijmy jednym dobrym słowem i Ormian — dawał naród polski pokój i prawo, jak świadczy o tym m.i. nazwa Żydaczowa, która oznacza "miasto sądowe" w języku wołoskim.

Były też — i to trwale — fale ludności polskiej, podążającej w kierunku wschodnim. Na Podolu — zarówno przedbruczańskim, polskim, jak i zazbruczańskim, ukraińskim — do naszych czasów ludność ruska odróżniała Polaków od Mazurów, przybyszów w wiekach XVII i XVIII. W ostatnich dziesiątkach lat wywieziono przeważnie stamtąd zarówno Mazurów, jak i tych, dla których byli oni Mazurami.

Krew polska wsiąkła obficie nie tylko w ziemię czerwieńską, lecz i w tamtejszą ludność ruską. Jeden z biskupiego rodu Szeptyckich greko-katolików zasiadał na stolicy biskupiej rzymsko-katolickiej, zmarły niedawno pod okupacją niemiecką polityk ukraiński Konstanty Lewicki notował w swoich pamiętnikach, że był herbu Rogala, a inny Ukrainiec założyciel "Masłosojuzu" i wybitny parlamentarzysta Eugeniusz Oleśnicki wprost szczycił się tym, że pochodził z rodu Kardynała Oleśnickiego. To też nic dziwnego, iż kiedy po tamtej — pierwszej — Wojnie Światowej wynurzyła się, przy niewątpliwiej pomocy państw centralnych, z niebytu "Zachodnia Ukraina," to postawieni twarzą w twarz Ukraińcy z Ukrainy z Ukraińcami ze Lwowa nie poznawali się nawzajem. Doprowadzało to do wydarzeń dramatycznych, do wzajemnego obwarowania się przeciw "rodakom" karabinami maszynowymi w Kamieńcu Podolskim w 1919 r., do zarzucania sobie nawzajem zdrady. Po tej wojnie zwolennicy okcydentalizmu w ruchu ukraińskim w Polsce zaczęli badać dokładniej własną przeszłość i doszli do bardzo ciekawych wyników, do odtworzenia roli, jaką w historii Rusi ukraińskiej odegrali t.zw. "tatarscy ludzie," mieszańcy półkroci stepowej, których jednakże nie miała nigdy wśród siebie Ruś współżyjąca z Polską w Ziemi Czerwieńskiej. Nie wątpię ani na chwilę, że uczucie inności między przybyszami w roku 1939 i tubylcami w naszej Małopolsce Wschodniej bez względu na narodowość wzrosło jeszcze bardziej do rozmiarów pełnej obcości. Bo nawet to, co w Małopolsce Wschodniej nie było z nazwy polskie, było jednak tak przepojone wpływami polskimi i zachodnimi, iż musiało odbijać rażąco od Wschodu.

Społeczeństwo na tych ziemiach, choć różniące się obrządkiem i językiem, było pod koniec bytu Rzeczypospolitej przedrozbiorowej w swoich uczuciach patriotycznych jednolite. Wiosna narodów w tym kraju we wspólnej Rzeczypospolitej byłaby wzmocniła źródła świadomości etnicznej, lecz nie naruszyłaby jedności państwa. Proces rozbijania jednak tej jednolitości rozpoczął rząd wiedeński bardzo wcześnie, tuż po pierwszym rozbiore. Wtedy to ukuto w kancelarii wiedeńskiej nazwę "Galicja," wstrętą łacińsko-niemiecką odmianę ruskiego i polskiego Halicza. Więc kiedy nie wiele przed wojną t.zw. polscy prometeiści i goście ukraińscy na pewnym zebraniu zarzucali piszącemu te słowa, że musi być Galicja, bo Małopolska jest nad Nidą i Pilicą, odpowiedziałem im powołaniem

się na Unię Lubelską, po której królewska część Rzeczypospolitej — Korona — dzieliła się na Wielkopolskę i Małopolskę z oddzielnymi niektórymi instytucjami prawnymi. Owa Małopolska obejmowała w sobie całkowicie dzisiejszą Małopolskę Wschodnią.

Tak więc szła historia poprzez zielone wzgórza tego naszego pięknego kraju i od lat sześciuset była to już historia nieprzerwanie polska. Nie na obcej glebie udają się kwiaty mądrości, piękności i siły narodowej. W Ziemi Czerwieńskiej, "nad Niestrem," wychował się założyciel naszej literatury Mikołaj Rej, i ziemia ta dała Polsce wzór wodza-rycerza Żółkiewskiego i króla-wojownika Jana III i Fredrę i autora Chorału Kornela Ujejskiego i tylu innych. (Sąsiednia ziemia krzemieniecka dała Polsce Słowackiego). Skoro niedawno premier sowiecki Stalin, a więc uczeń Marksa i Lenina, powoływał się na wielkie nazwiska w historii narodu rosyjskiego, to i Polacy powołać się mogą przy obronie ziemi swojej na imiona, które z tej ziemi wyrósłszy przysporzyły blasku kulturze i historii polskiej.

Nie było w Małopolsce Wschodniej od sześciuset lat innej historii, niż polska, i kiedy jeden z moich znajomych, Ukrainiec, postanowił napisać monografię swojej dobrze mi znanej wsi rodzinnej, nie znalazł innych źródeł i materiałów, niż polskie. W inwentarzu szkód, spisywanym przez starostę trembowelskiego po odpływie najazdu Chmielnickiego, znalazł zeznanie wieśniaka Gabriela, który oświadczył, że kozacy przyszli z za Zbrucza, na skutek czego "undeviginti domos combustos fuisse." Dorośli i dzieci z całej wsi przynosili mojemu znajomemu wszelkie znaleziska w ziemi, ale wśród monet dawnych tą drogą zebranych nie było ani jednej monety niepolskiej

Zabór austriacki zmienił wiele w tej polskiej krainie, nie przybliżył jej jednak do Wschodu. Pod tym względem granica Traktatu Wiedeńskiego ustalona w 1815 roku na Zbruczu utrzymywała granicę odmiennych kultur. Ponieważ zaś okres panowania Habsburgów na tych ziemiach przypada na wiek XIX, wiek ogromnych przemian społecznych i kulturalnych, więc w t.zw. wtedy Galicji Wschodniej ustalił się ostatecznie wpływ Zachodu. Po okresie absolutyzmu Austria musiała udzielić swobód i wtedy rozwój żywiołu i kultury polskiej ruszył pełną falą. Równolegle rozwijał się żywioł ruski, podniecany przeciw Polakom przez Wiedeń, który nie dopuszczał do porozumienia się obu grup autochtonicznych. Niemniej jednak grupa ruska, której znaczna część przybrała potem nazwę Ukraińców, pomimo twierdzeń o wspólnocie narodowej z mieszkańcami Ukrainy, stała na gruncie cywilizacji i kultury zachodniej. Węzły z kulturą polską były o wiele silniejsze, niż wszelka literatura o przeszłości kozackiej, która na tym terenie była tylko literaturą. Dziś przejście kilkumilionowej masy unitów w Małopolsce Wschodniej, posiadających dobrze rozbudowaną i wrośniętą w życie organizację religijną, stojącą na gruncie katolicyzmu i łączności z papieskim Rzymem, pod panowanie organizacji politycznej i kultury duchowej z osrodkiem w Moskwie, byłoby dla nich taką samą tragedią, jak dla Polaków. Zbrucz w naszych czasach był już nie tylko granicą polityczną, lecz i cywilizacyjną. Rewolucja rosyjska i jej wynik w postaci ustroju sowieckiego tylko ten przedział pogłębiły. Za Zbruczem jest inny, napewno dla ludzi zachodnich całkowicie obcy świat i z tego sobie nie zdaje sprawy Europa Zachodnia, a w niej jeszcze mniej Anglia.

A ludność tamtejsza? Jaka to ludność? Czytelniku, jeżeli pochodzisz z Wielkopolski lub Śląska, z Warszawy lub Wilna, i jeżeli przechodziłeś tą krainą po wrześniu 1939 r. przyświadczyć mi dzisiaj. Czy pamiętasz tych Polaków oflarnych i pomocnych, ryzykujących tyle a zarazem mądrych, tych chłopów polskich, mających bardziej wyrobione zdanie o istocie zachodzących przemian, niż wielu t.zw. polityków, ten odważny lud Lwowa, tę egzaltowaną w patriotyzmie, że aż posuwającą się do męczeństwa inteligencję? Mnie zawsze stałe przed oczyma znajomy, emerytowany urzędnik Izby Skarbowej, który wezwany, by jako skarbnik miejscowego Stronnictwa Narodowego wydał spisy członków, rozkrzyżował ręce i powiedział: rozstrzelajcie. Nie wydam!

I zginął.

Mówiąc o Rusinach, których znaczna część przybrała sobie

nazwę Ukraińców, wspominałem już o Szeptyckich, Lewickich i Oleśnickich. Ci od polskości przeszli do Rusinów. A czy wiele ma wspólnego góral karpacki Łemko, Bojko czy Hucuł z tradycją Dniepru i Ukrainy? Czy poddał się Chmielnickiemu Lwów i czy ten wybitny wojownik, lecz o wiele gorszy polityk, wjechał kiedykolwiek do tego miasta w splendorze swego wjazdu kijowskiego? Nie, Małopolska Wschodnia nie ma nic wspólnego z Zaporozem i nigdy nie była w jednym państwie nie tylko z Moskwą, ale i z Charkowem, a z Kijowem tylko wtedy, w bardziej stałym związku, kiedy Kijów należał do Polski. W starych, dawnych czasach XIII wieku poszli Rusini haliCCy pod Danielem nad Kałkę, ale bili się tam z Mongołami sami, podczas gdy książęta naddnieprzańscy i Rusi północnej przypatrywali się bitwie z poza zasieków, paktując w tym czasie z Azjatami za pośrednictwem "tatarskich ludzi." Tak jest, Zbrucz jest czymś więcej, niż podolską rzeczką. Jestem głęboko przekonany, że po tej wojnie Zachód i Wschód na ziemiach polskich — jak u Kiplinga — spotkawszy się nawet nie zejdą się jednak nigdy — z obopólnym zresztą pożytkiem. Nie sądzę, żeby Ukraińcy i Rusini z Małopolski Wschodniej po ostatnich swoich doświadczeniach chcieli rzucić się w objęcia Wschodu, i jeżeli tylko ich mali i o wąskich horyzontach przywódcy polityczni nie zaprowadzą w quislingowską uliczkę bez wyjścia, powrót do wzajemnie lojalnej i honorowej wspólnoty wewnątrz państwa polskiego stanie się czymś nieodpartym.

Tak mówi historia polityczna i historia kultury. Jakżeż nam na te pytania odpowie geografia: Głosi ona, że oparte o kościec pacierzowy Wisły państwo polskie nie może istnieć i żyć normalnie bez Małopolski Wschodniej i Zachodniego Wołynia. Normalne państwo polskie musi być oparte o Karpaty na południu i Bałtyk na północy. I to o cały łuk Karpat, tak jak jest widoczny od północy; konstrukcja ta nie może oprzeć się na połowie łuku i zawisnąć w powietrzu na jednym tylko zawiasie, przy całkowitym odcięciu drugiej połowy podwalin. Przestrzeń między barierami Bałtyku i Karpat musi być w całości polska, gdyż bez przestrzeni swoich ziem wschodnich Polska nigdy nie będzie w stanie rozwinąć się do walki z Niemcami na cały swój wzrost. Przebieg kampanii wrześniowej tezę tę tylko potwierdza. Zapewne i przy lepszym przygotowaniu byłibyśmy się ugięli pod pierwszym ciosem niemieckim, ale przestrzeń Polski Wschodniej zapewniła by możliwość manewru i przeciwuderzenia, które przy determinacji narodu i wojska i przy odpowiednich zasobach materialnych mogłoby w pewnych warunkach stać się dla Niemców śmiertelne.

Jeżeli popatrzymy z lotu ptaka na Małopolskę Wschodnią, to zobaczymy, że przedstawia się ona jako grań europejskiego dachu. Lwów jest jakby punktem szczytowym tej grani. Ze wzgórz lwowskich wody spływają w obie strony, ku dwu morzom. Większość terenu Lwowa nachyla się ku Bałtykowi, do którego wody lwowskie płyną Pełtwią i — następnie — Bugiem. Teren koło Dworca Głównego oddaje swe wody Morzu Czarnemu. Kto zatrzyma się we Lwowie przy kościele św. Elżbiety, położonym — o czym nawet wiele lwowian nie wie — wyżej, niż katedra Świętojurska, ten stoi na szczycie grani i jej lwowskiego wężła. Kto tę grań i ten węzeł dzierży, dla tego również Polska środkowa i zachodnia strategicznie stoi otworem. Nie darmo w połowie wieku XIII Chan Burundaj chadzał, ze swoim wasalem Lwem Danielowiczem z lwowskiego zameczku, pod Sandomierz, Zawichost i Kraków. Było to wynikiem głębokiego wdarcia się Wschodu do Europy i opanowania przez mocarstwo wschodnie punktów strategicznych dominujących nad terenem walk w Polsce.

Dopiero jary zachodniego — polskiego — Podola rozgraniczają Małopolskę i Polskę od Ukrainy i Rosji. Kiedy Rosjanie w 1914 roku przekroczyli w pierwszym impecie tę barierę, znaleźli się wkrótce pod Krakowem. Kiedy Niemcy i Austro-Węgrzy złamali front rosyjski w 1915 roku pod Gorlicami, zatrzymali się aż na Strypie i Serecie. Dopiero w jesieni 1917 roku przekroczyli Seret i dopiero w pierwszych tygodniach 1918 roku przekroczyli Zbrucz. Tu jest granica Europy środkowo-wschodniej i wschodniej, zgrana z łukiem Karpat. Dopiero po przekroczeniu granicy polsko-sowieckiej ustalonej Traktatem Ryskim wojska idące na podbój Rosji muszą czym prędzej

rozwijać się i wydłużać skrzydła na północ i południe, by usiłować opanować przestrzeń, które je jednak nieuchronnie wchłania i strategicznie osłabia lub nawet unicestwia.

Małopolska Wschodnia, mocno oparta plecami o Karpaty, jest podwaliną całej struktury wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Na niej opiera się Lubelszczyzna i Zachodni Wołyń, a w konsekwencji i Polesie, Ziemia Nowogródzka i Wileńska. Małopolska Wschodnia daje też nam dostęp do Bałkanów, których historia tak często spletała się z naszą historią. To są wartości, z których Polska zrezygnować nie może, które zaś z drugiej strony nie zagrażają nikomu. Małopolska Wschodnia nie zagraża Rosji ani Ukrainie drogi do żadnego morza, i w dzierzeniu Polski nie jest żadną specjalną bazą wypadową przeciw komukolwiek — dla przyczyn przedstawionych już wyżej.

Zasoby naturalne Małopolski Wschodniej nie grają większej roli w gospodarstwie światowym i stosunkowo niewielką w gospodarstwie europejskim. Skoro jednak nie mogą się one równać i rywalizować z zasobami surowcowymi i możliwościami przetwórczymi wielkich mocarstw gospodarczych świata, tym nie mniej dla gospodarki polskiej przedstawiają one wartości duże i istotne.

Tak więc historia polityczna i historia cywilizacji, geografia fizyczna i etnografia oraz ekonomia stwierdzają zgodnie, że jest to kraj nasz, że zawsze był nasz, żeśmy swoje prawa do niego legitymowali nieustannie wkładem pracy i krwi, której tam tyle w bojach przelaliśmy. Nie jest to więc jakiś dodatek do Rzeczypospolitej, jakaś kolonia, którą moglibyśmy wymienić czy sprzedać, jak Rosja Alaskę Stanom Zjednoczonym w wieku XIX, lecz jest równie istotna jak każda inna część składowa Rzeczypospolitej, krew z krwi naszej i kość z kości naszej, o którą nigdy nie możemy paktować i której nigdy nie możemy rzucić jako atutu na stół w grze dyplomatycznej, lecz o którą zawsze gotowi jesteśmy walczyć dopóki nam sił i tchu stanie.

Wszystko zaś, co w tym kraju jest piękne, dobre i dzielne, zbiegło się jakby promieniami w soczewce, w stolicy tym ziem, we Lwowie. To miasto wyniosłe na zielonych wzgórzach jest jakby jedną z kolumn, na których opiera się państwo polskie. Usunięcie kolumny i zarysuje się gmach. Wyrażenie "bastion Rzeczypospolitej" było zawsze pełne treści i nigdy nie było pustym zwrotem retorycznym.

Wizualnie miasto jest polskie i zachodnie. Katedra

rzymsko-katolicka sięgająca wieku XIV, oparta jest na założeniach gotyckich, katedra greko-katolicka jest aż rokokowa, jest dziełem sztuki inżynierskiej polskiej, a w jej ołtarzu głównym pyszni się obraz Smuglewicza, fundowany przez Kossakowską; wieża Cerkwi Wołoskiej jest renesansowa, Kościół Dominikanów rozmiarami i elegancją swego marmurowego baroku przypomina bardziej Paryż, niż nawet Rzym. Nie. Lwów nie nadawał się zupełnie do zamieszczenia choćby tylko tego jednego błysku-zdjęcia w filmie sowieckim "Dzień w Z.S.S.R." wyświetlanym w Londynie bez żadnego protestu powołanych do tego czynników polskich. Lwów jest obcy zupełnie architekturze bizantyńskiej, której tyłu pomnikami szczylił się Kijów, Lwów jest egzotycznie obcy architekturze Moskwy i Kazania. Od tamtych ośrodków twórczości ludzkiej Lwów jest odległy w wymiarze kulturalnym tak samo, jak Londyn.

Lwów jest całą swoją istotą związany z Zachodem. Obrona Lwowa nie dlatego zapadła tak głęboko w pamięć zbiorową Polski, iż walka toczyła się z najbliższymi sąsiadami, Ukraińcami, popchniętymi zresztą przeciw Polsce przez Wiedeń; nie dlatego także, iż Lwów był bardziej patriotyczny, niż inne miasta polskie, gdyż cały ich szereg stał się godnie w ówczesnych wydarzeniach historycznych obok Lwowa. Istotnym motywem legendy Orląt jest zawarte w niej piękno, ukształtowane wedle modelu naszej cywilizacji. Oto w czasach kiedy ogromne imperia i ligi wysyłały przeciw sobie masy bezimiennych żołnierzy, ginących anonimowo zdala od ojczyzny i ojcowizny, kiedy największym bohaterem był żołnierz literalnie nieznan, tu do walki stanęli obrońcy miasta, cię, owej kolebki naszej europejskiej cywilizacji, sięgającej swoimi korzeniami do miast starożytnej Grecji. Jak Hektor wyruszający na bój żegnał się ze swymi najbliższymi i ginął u bram miasta, żołnierze znani, obrońcy ognisk domowych. I wiadomo było wszystkim lwowianom, że oto Jurek Bitchan przy tej ulicy mieszkał, a przy tej poległ, że oto jeden z Kamińskich tu żył, a tam oto z bronią w ręku oddał życie za miasto i za Polskę, bo te dwa pojęcia stały się dla lwowian nierozdzielne, jak i dla całej Polski, która ich natychmiast zrozumiała.

Nie wstydzimy się w wielkich czasach wzniosłych słów.

Lwów dochował wiary Polsce we wszelkich okolicznościach. Dochowa jej i Polska swemu wiernemu miastu.

Marian Emil Rojek.

A. Przecieniewski

WILNO I ZIEMIA WILEŃSKA

Gdy się znaleźć na jednej z wyżyn, powstałych z pracy przedwiecznych lodów, które tak liczne są na Wileńszczyźnie, jest się uderzony tym, że jeszcze dziś, blisko połowy XX wieku, ta ziemia zdaje się wylaniać z pod lasów, które stanowią tło i ramę całego życia. Statystyka mówi już co innego o stopniu zalesienia tych okolic, za pamięci żyjącego dziś pokolenia zniknęły tam ogromne przestrzenie leśne, a przed stu laty Mickiewicz już opłakiwał spustoszenia siekiery kupieckiej i rządowej wśród jego "drzew rodzinnych." Ale poeta przekazał potomności wiadomość, że Wilno "w lasach siedzi." Rys ten tym bardziej być musiał uderzający w wiekach dawnych, skoro tradycja samo założenie miasta łączyła z myśliwską wyprawą Gedymina. Morze lasów okrywało późniejszą ziemię wileńską, gdy od zachodu, od wybrzeża morskiego, w górę Niemna i Willii, z ziem cieplejszych, żyzniejszych i dawniej osiadłych przebiegały ją drużyny litewskie szukające tu, jak zawsze w owych zamierzchłych czasach, nowych przestrzeni osadniczych, a także i to w coraz wyższej mierze, większego bezpieczeństwa od groźnego krzyżackiego sąsiada,

Owa historycznie niedawna pustka i młoda osiadłość ziem wileńskiej tłumaczy wiele z jej dzisiejszego charakteru. Litwin byli pierwszymi jej władcami i mieszkańcami, ale musiało to być zaludnienie niezmiernie rzadkie. To też obok litewskich napotyka się tam sporo nazw i nazwisk ruskich, wskazujących na inną imigrację, z południa i wschodu, a wreszcie nie ulega wątpliwości, że żywioł polski znalazł się tutaj niezmiernie dawno, naturalnie i organicznie, bez żadnych gwałtów ani wstrząsów, jak to odpowiadało układowi stosunków, póki jeszcze przybysz ze stron dalekich był bogactwem, a nie jak dziś, ciężarem.

Imigracja polska do ziem litewskich różne przybierała formy. Najwcześniejszymi osadnikami mogli tu być brańcy z licznych wypraw litewskich na pogranicze polskie, w czasach poprzedzających unię. Wiadomo, że później zjawili się tu liczni duchowni świeccy i zakonni, napływający jako misjonarze, oczywiście nie bez jakiegoś otoczenia i towarzystwa. Licznie ścigali do miast i miasteczek rzemieślnicy z wyżej cywilizowanej Polski, których tu czekało rozległe pole działania,

Wreszcie nie może wątpliwości ulegać, że wielkie rozmiary przybrało także polskie osadnictwo rolne, czy to szlacheckie czy kmieć, czy wojskowe, czy też czysto gospodarcze. Nadzwyczajną bowiem żywotność wykazało plemię polskie, gdy przez wieki z niesłychaną rozrzutnością wysyłało swoje dzieci na wschód, który wchłaniał pokolenie za pokoleniem ze zbyt nietrwałym pożytkiem ojczyznanego kraju. Pozostał w pamięci potomnych urok, jaki wywierały na Polakach południowo-wschodnie ziemie Rzpltej, nad miarę żyzne, słoneczne, rozległe, ale jakby złowrogie i zwodnicze. Potoki krwi polskiej spłynęły w ich obronie, a jednak nieprzebrane rzesze osadników polskich poszły tam na marne.

Mniej bodaj wiemy o pobudkach i kolejach osadnictwa polskiego na północy, ubogiej, zimnej, mało gościnnej. A jednak to był ten kierunek, w którym kolonizacja polska najlepiej się powiodła i gdzie cywilizacja polska odniosła swą największą i najtrwalszą, choć bezkrwawą wiktoryę. Żywił polski, który tu napłynął, w dużej mierze przetrwał, przynajmniej w stronach dostępniejszych, co więcej, wywarł wpływ na otoczenie, pociągnął je i przyswoił i piętno swoje wybił na tych ziemiach tak potężne, że klęski i przeciwności bez miary i liczby, już go zetrzeć z ich oblicza nie zdołały. Jest rzeczą znaną, jak szybko i jak wcześnie w W. X. Litewskim pierwiastek litewski ustąpił miejsca ruskiemu, który tu przyszedł zbrojny w jedno z pierwszych narządów wszelkiej wyższej kultury, t. j. w pismo.

W następnej fazie ruszczyzna ustępowała stopniowo, ale też dość szybko przed polszczyzną, która w dziedzicznych ziemiach Jagiellonów symbolizowała panowanie wolności i prawa. Ostatni ślad języka ruskiego w administracji W. X. Litewskiego zniknął za Augusta III, kiedy ostatecznie usunięto archaiczne i ogółowi już niezrozumiałe formuły ruskie z kancelarii Wielko-Książęcej.

Ale już na sto dobrych lat przed tym, jeszcze przed najazdem cara Aleksego, Wilno jest miastem o absolutnej przewadze polskiej, co wynika z takich n.p. dokumentów jak testamenty mieszczan, pisane już prawie bez wyjątku po polsku. Zmienny stosunek trzech pierwiastków językowych, a za tem i kulturalnych, jakie na tych ziemiach się stykają, dają się zresztą do ostatnich czasów śledzić na wielu przykładach. Są bowiem okolice Wileńszczyzny, gdzie w połowie wieku dziewiętnastego istniała jeszcze wśród ludu powszechna znajomość języka litewskiego. Jednak pod koniec wieku już on ustąpił w codziennym użytku, t.j. "mowie prostej," czyli miejscowej odmianie języka białoruskiego, a ta w następnych latach coraz bardziej schodziła z pola na rzecz polszczyzny, w młodym pokoleniu zwykle już uderzająco poprawnej i czystej. Są to coprawda strony katolickie, gdzie nie było niszczących wpływów cerkwi, gdzie na odwrót kościół katolicki był potężnym krzewicielem, a w każdym razie ostoją polskości. Albowiem cały ten kraj od wieków modlił się i śpiewał po polsku, co było regułą nawet w Litwie etnograficznej i dopiero w ostatnich pokoleniach się zmieniło, odkąd rząd rosyjski dostrzegł w protekcji udzielanej językowi litewskiemu środek uderzenia w Polaków i podkopania ich odwiecznej w tym kraju przewagi. Ale poza granicami osiadłości litewskiej pewien paradoks przejawiał się w metodzie rosyjskiej administracji. Z niejakimi odchyleniami czasowego i lokalnego charakteru, język polski jako język ludowy w kościele katolickim był w całej Rosji nie tylko tolerowany, ale rygorystycznie strzeżony, a to w tym celu, by utrudnić mu prozelityzm i zamknąć go ściśle w obcym środowisku. Zasada ta znajdowała zastosowanie i na naszych ziemiach i częściowo dzięki temu poprzez czasy najcięższego ucisku narodowego i religijnego tradycja polska w kościołach Wileńszczyzny się nie urwała.

Kurczyła się ona i wykrzywiła w atmosferze ucisku i prześladowania, jaka te ziemie ostatecznie zaległa po zgnieceniu powstania 1863 r., ale i wtedy jeszcze tyle wykazywała samorodności i swoistości niezwyklej, tyle osobliwego stylu, tyle niepożytej oryginalności, że kto raz zasmakował w jej dziwnościach, ten już ich póki życia nie zapominał. Mowa polska nie była tam piękna, ani czysta, była czasem pokraczna, koślawą, bogata w naiwne rusycyzmy, ale była to mowa nie byle jakiego ludu. Wilnianie to typowy lud ziemi zoranej wzdłuż i w szerz przez historię, wysmaganej wielu burzami,

noszącej ślady wielu klęsk i wstrząsów, lud co zdaje się wiele pamiętać, który wiele przecierpiał, ale wiele też przetrwał, a potem po swojemu przeżył. Nic banalnego, nic oklepanego, nic zdawkowego niema w Wilnianach. Sto lat prawie patrzeli oni na poniewierkę i poniżenie polskości. Ale kiedy w czasie pierwszej wojny światowej zachciało się Niemcom na własny użytek budować na Wileńszczyźnie powolną sobie Litwę, bez żadnej propagandy ani agitacji, której robić nie było komu, płomień oporu zapalił się w całym kraju. W Szczuczynskiem, w Lidzkim, koło Wasiliszek, Radunia, Ejszyszek, w Trokach, w Podbrodziu, w Szyrwintach i aż pod Święciany i w Wilnie samymi wreszcie i powiecie wileńskim, spis ludności mający niby wykazać prawa etnograficzne nowego litewskiego państwa, wypadł tak kompromitująco, że go Niemcy ogłosić nie śmieli i wyszedł na jaw dopiero później. I w gruncie rzeczy nie ma się czemu dziwić. W świecie materialnym upatrujemy wszędzie analogie i prawa, niema powodu wierzyć, że w duchowym zachodzą same wyjątki i niekonsekwencje. Gleba litewska dawno wykazała, że posiew polskości nie tylko w niej nie marnieje, ale że wyrasta plonem wspanialszym niż gdziekolwiek indziej. Jak barwy tęczy tam wykwitają, gdzie światło się łamie, tak kultura polska najcudniejszym rozbiły się czarem na tych ziemiach, gdzie ją kiedyś zanieśli, i gdzie się szczęśliwie zmieszała i splotła z nowymi, świeżymi pierwiastkami doświadczenia i wrażliwości. Mickiewicza nikt już Polsce nie odbierze, ale nikt go też nie odbierze "krajowi lat dziecinnych," gdzie się poczęły jego arcydzieła i który był mu "jak zdrowie." Kultura polska nie tylko tam sięgnęła, ona już dziś w znacznej mierze stamtąd jest rodem. I Mickiewicz nie był owocem kaprysu, lecz prawowitym dzieckiem życia polskiego, które nigdzie nie było bujniejsze za dawnej Rzpltej, jak na Litwie, synem tego Uniwersytetu Wileńskiego, który pozostanie jedną z wielkich chlub polskiej przeszłości. Więc rzecz to chyba naturalna, że po odbudowaniu państwa polskiego zaraz kultura polska zaczęła tu zakwitać. Zwłaszcza sztuki plastyczne znalazły podatny grunt. Wielkim inicjatorem był Ferdynand Ruszczyc, koło niego zgromadził się liczny grono artystów, jak Ślędziński, Horyd, Jamontt, Hopen, Kwiatkowski i wielu innych. Piękno Wilna jał popularyzować w fotografii entuzjasta Bułhak, szereg architektów, jak Borowski, jak Narębski, przywracało czcigodnym pomnikom przeszłości ich dostojność, usuwając szpetną rosyjską skorupę, którą za rządów carskich próbowano ją "zaasymilować."

Okazałość i szlachetność architektonicznej szaty Wilna, zwłaszcza jego kościołów, to jeden więcej rys zdumiewający tego miasta i tej ziemi, jedno więcej świadectwo potęgi życia, które tutaj tętniło, tym bardziej wymowne, gdy zważyć jak ciężkie i dotkliwe były koleje, które przeszło. Znało ono dni rozkwitu i świetności za Jagiellonów, ale od najazdu moskiewskiego w czasie wojny szwedzkiej klęska szła za klęską, pożary, głody, rabunki. Wiele budowli pochodzi z przed tego czasu, ale bynajmniej nie wszystkie. Widocznie każdą chwilę lepszą wyzyskiwano tu gorliwie i umiejętnie. A tak sławna Ostra Brama, coprawda skromna jako budowa, pochodzi z roku 1674. A tuż obok kościół Karmelitów, opodal strzeliste wieże Misjonarzy, cudna kopuła Wizytek, okazałe mury św. Kazimierza, poważny św. Jan, otwierający się na dziedzińce Uniwersytetu, Dominikanie, św. Ignacy, Bonifratrzy, św. Rafał, św. Jakób, klasyczna katedra, gotyckie św. Anna i Bernardyni, św. Michał i św. Katarzyna z malowidłami Szymona Czechowicza i klejnot barokowej dekoracji, św. Piotr na Antokolu, wszystko to stwarza tego rodzaju obraz miasta, jakby tu przez wieki nie było klęsk, najazdów, prześladowań, lecz w atmosferze pokoju i pomyślności zawsze pogodnie kwitnęły sztuki i nauki, a zastępy szczodrych mecenasów czuwały tylko gorliwie nad ich rozwojem.

Świadectwo tej ziemi i tego miasta o samych sobie jest tak wymowne, że go żadne sofizmaty nie zagłuszają, a na odwrót, coby ludzie przemilczeli, o to głosem wielkim dopomną się kamienie. Nie to bowiem jest właściwe pytanie, co się Polsce tu należało lub należeć może, lecz raczej to, co Polska winna jest temu krajowi. Naród nasz wobec zgodzie o nim wyznać, to co o największym z Litwinów powiedział po jego zgonie wielki syn rdzennego Mazowsza: My z niego wszyscy.

A. Przecieniewski.

Józef Łobodowski

DUBLANY*

Ucichł niepokój strasznego dnia,
gwiazdami noc do żrenic prószy,
w bylinach wiatr, jak czyjś ostrożny krok —
znad sadów mgła,
czy siwy dym pastuszy —
to śmierć odchodzi od żołnierskich zwłok.

Sine pagóry stromo zbiegły
ku dolinom,
wieś, ciężko dysząc, zwała się na wznak,
pod stopą dźwięczy szkło i skrzyp strzaskanej cegły,
na wargach smak gorzkiego płynu
i serce tłucze,
jak złowróbnny ptak.

Uroczne głosy i kroki nam nie kłamią,
wtórzą im cienie smukłych topól —
gwarzący liśćmi, mroczny sejm . . .
Teraz na dnie tej nocy, jak na dnie okopu,
żelazo z ramion
razem z troską zdejm.

Pod niebem roziskrzonym, jak pod gałęzią wiśni,
niech ci zabrzęczą gwiazdy złotym rojem pszczoł,
i niechaj ci się jeszcze raz
miniona prawda przyśni,
w którą wierzyłeś,
nimeś oczy widokiem zguby struł.

Na mrocznym polu śmierci świeci ktoś latarką,
do czoła lgnie topoli
mokry liść — — —
i noc, i wiatr, motorów głuchy warkot,
i oddech gwiazd, pod którym powoli
trzeba iść.

Więc jakież sen w tę noc wywołać
i dźwięki czyich imion,
gdy cała ziemia, jak stygnący trup,
i mgliste drzewa, jak gromnice dymią
u milczącego siola
wyprężonych stóp.

Blady świt senną ziemię z drętwyty wynurza,
wiatru śpiew na najwyższej oberwał się nucie, —
w wyrwach śmierci
śród kłęski potrzaskanych drzew
legli cicho na wzgórzach,
bagietami polskimi wykłuci.

Obróć oczy za siebie, rachmistrzu żalości,
policz znaki doczesnych met
na cmentarza wiejskiego darniach.
Hołubiła nas ziemia, kołysała w szelest i szept,
teraz żyły i kości
z powrotem w ramiona przygarnia.

Stoi obłok wysoki, ptak świegoce,
cisza dzwoni świerszczem.
Wszystko, ziemio, widziałas, żeś taka spokojna!
W łunach zmierzchy i noce
napływają nie pierwsze,
nie pierwszyczna ci pożar i wojna!

Wszystko, ziemio, przetrzymasz, przeczekaś
i wytrwasz —
ty się jedna nie poddasz, choć ugną się słabi.
Cóż że nam osmalonym w odwrotach i bitwach,
ciężki sen na powiekach
i w rękach bezsilny karabin!

Przeminiemy — i serca, zwątlące, jak wosk,
pod tą zorzą
gasnącą w czułych sercach zastygną,
inni oczy radosne do szczęścia otworzą,
obojętni na mroczny nasz głos
przepalony kłęską i maligną.

Ciężka chmura zapowiada się gromem,
wschodnie niebo stoi w błyskawicach,
otwierają się dni nowym dziejom i przyszłym latom.
Dziś, gdy oczy znużone
zakrywa nam śnica,
odsalutuj nas, czarna zatrato!

NIEPOKONANI

Wracal żołnierz z obczyzny w munduru łachmanach,
kijkiem się przepasując i workiem podparty.
Świeci mu kraj do ślepiów, jak otwarta rana,
patrzy: stoja kominy, jak żałobne warty,
obrodziło popiołem tego roku bujnie,
snadź ziarno było dobre i obornik żyzny.
Ano, przyjrzyj się, chłopie, a oblicz podwójnie,
co z życia,
a co z polskiej zostało ojczyzny.

Poznaje żołnierz — tutaj rodzinna chałupa
stała w srebrze poranków i złocie wieczorów,
tu sąsiedzkie obejście, tam przed matką upadł
na kolana, gdy przyszli go brać do poboru;
a tam, gdzie ciemny popiół żółkła trawę skaził
i lej głęboki w mokrej otwiera się glinie,
tak niedawno siadując na starym przełazie,
ileż zmierzchów poświęcił kochanej dziewczynie.

Dął świeży wiatr z zachodu i zawiewał marcem,
z ostatnich płatów śniegu pagóry oczyszczał.
Przegląda się wędrowiec swojej gospodarce,
kij i worek położył na jesiennych zgłiszczach;
wciąga w zbiedniałe piersi ten powiew i wiosnę,
siadł na starej przyciesi zachowanej krzynie,
aż las zasumiał nad nim i rzenie żalosne
odezwało się echem w mizernej olszynie.

I koń artyleryjski, cały w świeżych bliznach,
rząc cicho, a boleśnie, spod gałęzi wyszedł.
Mgłą poranną paruje wiosenna calizna,
wiatr łachmany uprząży na grzbiecie kołysze,
czarną ospą pocisków poorana glina
pławi się w bladym słońcu, martwizny wyszczerza —
i stali przeciw siebie na szczęścia ruinach
okaleczone zwierzę i resztką żołnierza.

Widziano: o świtanu wczesny ugór dymił
białym potopem przedwiośnia i w skowronków śpiewie
czarna ziemia, stęskniona do ziarna ozimin,
oddychała radośnie na świeżym powiewie
wiatru, chętnego wielce ku corocznej siejbie;
włóki się za widmem konia potargany lejbik,
przystawali co chwila, odpoczynki długie
często czyniąc, bo trud był ich siłom zbyt znojnny —

I modliła się ziemia pod zwycięskim pługiem:
— od pożaru,
od moru, od głodu, od wojny . . .

* Dublany — wieś pod Lwowem. We wrześniu 1939 r. stoczyli tam Polacy krwawe walki z Niemcami, którym ostatecznie zamknęli drogę do Lwowa. Przyp. Redakcji.

HITLER I JEGO MARSZAŁKOWIE

Militaryzm pruski rządzi Niemcami bez przerwy więcej niż lat sto. 9 listopada 1918 roku zdawało się, że kończy się dominująca rola armii niemieckiej, jej korpusu oficerskiego i ducha, który dotąd reprezentowała. Rewolucja miała wtedy stworzyć milicję, która miała z kolei stać się ostoją ducha republikańskiego i zapowiedzią nowych czasów dla Rzeszy — powiedzielibyśmy dziś: zapowiedzią reedukacji społeczeństwa niemieckiego. Już 13 listopada jednak wydział wykonawczy rady robotników i żołnierzy postanawia zrezygnować z tworzenia swej czerwonej gwardii i oprzeć się na istniejących kadrach wojska. Ministrem spraw wojskowych zostaje socjalista i robotnicarz Noske, ale wokół niego stukają obcasami i dźwięczą ostrogami ci sami, którzy otaczali Bismarcka, cesarza, kronprinza, Hindenburga i Ludendorffa. Mąż zaufania młodej republiki nie wnosi do kwatery pruskiego militaryzmu przy Bendlerstrasse w Berlinie żadnych nowych myśli, wysłany tam przez zrewolucjonizowane masy niemieckie przesiąka sam duchem niemieckiej kasty oficerskiej i z gorliwością neofity robi akuratnie to wszystko, co mu doradzają generałowie, pułkownicy czy na wojnie wyrosli majorzy.

Następca Noskego demokratą Gessler utrafia w ten sam ton. Gdy Reichstag protestuje przeciw urzędowaniu po pułkach i korpusach republikańskiej armii uroczystości żywcem przejętych z okresu cesarstwa oraz przeciw udziałowi w tych manifestacjach członków rodziny Hohenzollernów, Gessler replikuje (6.VII.1922):

„Uważam za rzecz zdrową i pożyteczną dla ducha armii, aby żołnierze zachowywali pamięć o tamtych czasach . . . aby także podtrzymywali łączność ze swymi dawnymi kolegami i przełożonymi.”

Rząd republikański doskonale orientował się w ruchach wszystkich Freikorps, wiedział dobrze, że całe oddziały dawnej armii cesarskiej ukrywały się przed oczami komisji alianckich w pełnym składzie jako bataliony pracy na majątkach wielkich właścicieli ziemskich. Batalion Rossbacha na przykład, zanim jako „Regiment Schlesien” poszedł walczyć z powstańcami śląskimi, „ukrywał się” na Pomorzu niemieckim jako w sądzie zapisana „Arbeitsgemeinschaft Rossbach e.V.”. Autorami znanej umowy z 7 lutego 1923 roku mówiącej o współdziałaniu oddziałów „Czarnej Reichswehry” z jawną, oficjalną organizacją republikańskiej armii niemieckiej byli socjalista Severing i generał von Seeckt.

W tym okresie tolerowania a nawet popierania przez republikańskie rządy niemieckie kadr nielegalnych organizacji militarynych, prowadzonych przez oficerów cesarskich, sfery wojskowe w Niemczech wchodziły w bliski kontakt ze wszystkimi skrajnie prawicowymi kołami, m.i. także z powstającym wtedy narodowym socjalizmem. Dzięki temu kontaktowi Reichswehra uzupełniała kadry zawodowej armii głównie ludźmi bliskimi nacjonalistycznym ruchom politycznym. Jak bowiem wiadomo, przepisy Reichswehry dopuszczały rekrutowanie żołnierzy poprzez dowódców kompanii, oni decydowali kto ma być przyjęty na intratną przy ówczesnym bezrobociu posadę zawodowego żołnierza, oni decydowali jacy podoficerowie z dawnej armii mogą uzyskać łaskawy chleb przy drylowaniu szeregow. W ciekawej książce „Schleichers Aufstieg” napisanej w 1932 roku przez panów Caro i Oehme tę rekrutacyjną działalność dowództw poszczególnych kompanii oceniono jak następuje:

„Przy pomocy tego zdecentralizowanego systemu rekrutacji do Reichswehry wchodził tylko zwolennicy prawicy . . . Między oficerem Reichswehry a organizacjami prawicowymi istniały ścisłe koneksje. Dawano listy polecające, względnie prowadzono badania, nie mające nic wspólnego z konstytucją.”

Nic też dziwnego, że z chwilą dojścia do władzy partii narodowo-socjalistycznej istniały już między hitleryzmem

a armią bardzo silne więzy długiego okresu ścisłej współpracy, współpracy na wszystkich szczeblach. Współpracy tej nie mogły zamącić względy socjalne. Kastowość niemieckiego korpusu oficerskiego przeszła dużą ewolucję. Niemcy już przed tamtą wojną zaczęli się demokratyzować, demokratyzację niemieckiego korpusu oficerskiego przyspieszyła pierwsza wojna światowa. Reichswehra po 1918 roku nie była już taką towarzyską ostoją pruskiego junkierstwa, jak przed 1914 rokiem. Młody oficer niemiecki Siegfried Bracht (nie mylić z obecnym Gauleiterem Śląska), zamieszany w zamordowanie Róży Luksemburg ofiarował po tym mordzie na sprzedaż zegarek zamordowanej. Nie przeszkodziło mu to w cieszeniu się w dalszym ciągu zaufaniem przełożonych i kolegów. Rzecz towarzysko nie do pomyślenia w niemieckim korpusie oficerskim za czasów cesarskich. Liebknecht mordował von Pflugk-Hartung, bawarskiego premierakomunistę Eisnera hrabia Arco Valley, Erzbergera i inne ofiary Fememordów i prosił żołnierze na równi z oficerami. Wspólność metod i celów przyćmiła różnice socjalne. Reichswehra przepojona była nadal duchem kastowości zawodowej, ale przysła skorupa ekskluzywizmu towarzyskiego, którą był otoczony korpus oficerski Wilhelmów. Starzy generałowie nauczali się współpracować z robotniczymi i kontaktować z bojówkarzami oraz różnego rodzaju — **Gesindel**. Młodzi oficerowie pochodzili już często z niższych socjalnie warstw.

Armia użyczyła Hitlerowi swego autorytetu, Hitler mógł oprzeć się o armię tak samo, jak armia kiedyś — bez koncesji na rzecz zmienionych stosunków — mogła schronić się ze swym imperializmem pod kaptur republiki wejmarskiej. Jeszcze nie cały świat wiedział o śmierci Hindenburga, a już 1 sierpnia 1934 roku na dziedzińcach koszar w całych Niemczech wojsko składało przysięgę na bezwzględną wierność Adolfowi Hitlerowi, jako wodzowi narodu i głowie państwa niemieckiego. Ta chwila przygotowała obecny tekst przysięgi żołnierza niemieckiego, ustalony zarządzeniem z 20 lipca 1935 roku:

„Przysięgam tą przysięgą na Boga, że darzyć będę wodza Rzeszy Niemieckiej i narodu Adolfa Hitlera, naczelnego dowódcę armii bezwzględnym posłuszeństwem i że gotów jestem, jako waleczny żołnierz każdej chwili dla tej przysięgi oddać moje życie.”

Stosunek żołnierza do Hitlera jest najściślej osobisty. Żołnierz ma być posłuszny tylko Hitlerowi, żołnierz niemiecki nie służy dziś swej ojczyźnie a tylko Führerowi. Dobro narodu jest coprawda doktryną narodowo-socjalistyczną upersonifikowane w tej jednostce, ale tekst przysięgi jest tak jednostronny, że właściwie formalnie z chwilą śmierci Hitlera więzy tego zobowiązania upadają, żołnierz niemiecki nie będzie miał wtedy komu służyć — będzie bez ojczyzny, i odwrotnie, tak długo jak Hitler żyje tylko on ma w stosunku do tego żołnierza pełnię egzekutywy rozkazodawczej.

Republikańskie rządy Rzeszy wejmarskiej mogły złamać pruski militaryzm — nie zrobiły tego. Instytucja Reichswehry mogła w chwili śmierci Hindenburga założyć swe veto przeciw dyktaturze Hitlera — nie zrobiła tego. Niemcy-republikanie widzieli bowiem w pruskim militaryzmie wyraz swych aspiracji politycznych. Generałowie widzieli w systemie hitlerowskim najkorzystniejsze warunki dla urzeczywistnienia pruskich marzeń imperialistycznych. W obydwu wypadkach — w listopadzie 1918 i w sierpniu 1934 — zadecydował duch, którym Niemcy żyją od czasów Fryderyka Wielkiego i zachłannej Marii Teresy poprzez Bismarcka i zarozumiałego Wilhelma.

Reichswehra oczywiście wytargowała za poparcie narodowego-socjalizmu pewne zasadnicze dla siebie ustępstwa. Hitler poświęcił dla współpracy z wojskiem Roehma, zwolennika podporządkowania Reichswehry milicji partyjnej, szturmówkom. Mimo stworzenia z pojęcia narodowego socjalisty synonimu pojęcia Niemca, przemianowana na „Wehrmacht” Reichswehra

uzyskała w ustawie o budowie siły zbrojnej Niemiec z 16 marca 1935 roku znamienity artykuł 26:

“Paragraf 26 (1) Żołnierze nie mogą zajmować się polityką. Na okres aktywnej służby wojskowej przynależność do N.S.D.A.P. lub do którejkolwiek z jej przybudówek spoczywa. . . (4) Minister wojny może urzędników wojskowych i dla wojska zatrudnione osoby prywatne, jeżeli wymaga tego wojskowa konieczność, poddać ustępowi 1 i 2 (ustęp ten mówi o zawieszeniu czynnego i biernego prawa wyborczego wojskowych przyp. nasz) niniejszego paragrafu.”

Wehrmacht zamknęła partii bezpośredni wstęp do koszar. Generałowie natomiast zgodzili się na usunięcie Schleichera, który był zresztą nie tylko Hitlerowi, ale i wojskowym kolegom niewygodny z powodu szerokiego zasięgu swych ambicji politycznych. Generałowie zgodzili się też na nadanie ściśle wojskowej formy oddziałom S.S., choć w obecnej wojnie antagonizm normalnych kadr Wehrmachtu w stosunku do dywizji partyjnych przybierał nieraz charakter bardzo ostry (wzajemne niesalutowanie się, brak taktycznego współdziałania itp.).

Armia maszerowała odtąd ramię przy ramieniu z partią ku wspólnym celom—ku zawojowaniu świata przez wielkie Niemcy. W marszu tym były nieraz spory (vide sprawa Fritscha) na tle stosunku do tych czy innych zagadnień, ale istota kollaboracji nigdy nie została zachwiana. Hitler pilnował co prawda jednej, jedynej rzeczy—aby żadne z wojskowych nazwisk nie stało się zbyt popularne, aby jakiś nowy Hindenburg, Mackensen czy Ludendorff nie stawali się ulubieńcami mas i sukcesami na niwie wojskowej nie przyćmiewali wielkich nazwisk partyjnych.

Gdy uznał za stosowne wyróżnić pewnych generałów za zasługi wojenne, to mianował od razu kilku marszałków, aby blask tych nominacji był możliwie szeroko rozproszony. Wehrmacht zachowywała wzajemną dużą swobodę ruchu w zakresie personalnym. Von Bock, uważany za jeden z największych talentów strategicznych armii niemieckiej, nie przestawał manifestować swego nastawienia monarchistycznego. Von Stülpnagel, obecny dowódca niemieckiej armii okupacyjnej we Francji, znenawidzony przez nazistów jeszcze z okresu swej współpracy ze Schleicherem, nadal robił karierę. Von Listowi nic nie zaszkodziło, że uchodził za jednego z wodzów “opozycji” generalskiej.

Sentymenty zresztą Hitlera zwracały się znacznie serdeczniej do armii niż do partii. Partię sam stworzył, partia jest jego narzędziem, armię zastał w Niemczech, jako autorytet rewolucją listopadową niezachwiany, armii nie mógł zaliczyć do kolekcji swych “Novemberverbrecher” i dla zdobycia poparcia tej armii musiał coś poświęcić. Zresztą Hitler—prosty żołnierz z tamtej wojny, a potem w 1919 r. płatny instruktor oświatowy jednego z bawarskich pułków, nie mógł dać się nie uwieść nimbowi wielkiej tradycji armii niemieckiej. Partyjno-militarna spółka działała sprawnie, partia oddawała co należało się armii, armia oddawała co należało się Hitlerowi. Partia mogła marzyć o tym, że kiedyś poprzez coraz młodsze, napływające do armii roczniki reszta korpusu oficerskiego “kaiserlicher Prägung” zostanie zmajoryzowana. Wyżsi dowódcy armii mogli w głębi ducha podzielać zdanie tych wielu poważnych Niemców niesympatyków Hitlera, którzy autorowi książki “Das stumme Deutschland,” wydanej w Zurychu spowiadali się:

— Znosimy to wszystko, bo wiemy, że Hitler doprowadzi Niemcy do wielkości i że nadejdzie w końcu chwila, w której życie wewnętrzne Niemiec będzie mogło być oczyszczone z wielu objawów niewątpliwie ujemnych.

Powodzenie za powodzeniem utrzymywało to mniemanie. Wreszcie nadeszła chwila pierwszych potknięć: klęska włoskiego sprzymierzeńca w Abisynii, porażki Rommla w Afryce, niespodzianka rosyjska. Nie poraż pierwszy w życiu tak się dzieje, że bandyci kłócą się na skutek nieudania się ich zamiarów. Pierwsze niepowodzenia wykazały, że organizm Trzeciej Rzeszy nie jest tak jednolity, że mogą i na nim powstawać rysy. Trudno jest ustalić słuszność czy prawdopodobieństwo pogłosek, które obiegają świat od kilku tygodni na temat kłótni

między partią a wojskiem. W każdym razie są symptoma, które każą brać te wiadomości poważnie. Postaramy się je zanalizować.

Himmler, który dotąd był tylko gościem w głównej kwaterze Hitlera, przebywa teraz stale przy Führerze i wydaje ostentacyjne rozkazy do policji oraz S.S. z adnotacją: “dane w kwaterze głównej wodza.” Znaczy to, że partia oraz Gestapo obstawia Hitlera i chroni go nawet niekoniecznie przed zamachem generałów, w który osobiście nie wierzę, lecz chroni go przed ich radami. Równocześnie biegną po całym świecie pogłoski o uaktywnieniu się szefa wywiadu niemieckiego admirała Canarisa, uważanego za Himmlera Wehrmachtu.

Feldmarszałek von Bock, odwołany ze stanowiska dowódcy frontu moskiewskiego w dziwnych okolicznościach, po kilku tygodniach zostaje przywrócony do honorów—na południu frontu rosyjskiego. Świadczy to o pewnych przesunięciach wpływów przy Hitlerze: von Bock poszedł, niezadowolony na skutek tego wśród wyższych dowódców, von Bock wraca.

Nie to jest dalej ciekawe, że naczelne dowództwo zostało odebrane von Brauchitschowi, ile to jest charakterystyczne, że na jego miejsce nie został nominowany żaden inny marszałek i że Hitler sam objął dowództwo. Świadczy to albo o braku zaufania Hitlera do swych marszałków, albo co wydaje się prawdopodobniejsze—że żaden z marszałków nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za dowodzenie w tak trudnej dla armii niemieckiej sytuacji.

Śmierć poza frontem w tym samym okresie czasu trzech znakomitych lotników niemieckich, z których dwóch było wybitnymi organizatorami niemieckiej produkcji lotniczej, może wcale nie znaczyć, że zostali oni zamordowani przez Gestapo, jako krytycy posunięć reżimu. Musiała ona jednak w formie plotki nasunąć społeczeństwu i armii dziesiątki domysłów. Jako doskonała podpałka dla wewnętrznych niepokojów podziałała także niewątpliwie śmierć von Reichenau’a. Cóż łatwiejszego, jak puścić plotkę, że o ile Udet i towarzyszy ukatrupił Himmler, to von Reichenau’a, fanatycznego wolennika Hitlera, mógł sprzątnąć Canaris.

Niektórzy attaché wojskowi niemieccy (n.p. w Turcji) od szeregu miesięcy uważają za stosowne podnosić wobec niektórych swych rozmówców zagranicznych, że armia niemiecka nie popiera hitlerowskiego reżimu, że wyżsi wojskowi niemieccy zdają sobie sprawę z konieczności przygotowania przyszłej “Czwartej Rzeszy.” Równocześnie partia prowadzi wyteżoną akcję werbunkową na terenie Niemiec dla skompletowania szeregów oddziałów specjalnych S.S. (S.S. Verfügungstruppe). Oddziały te powstały z bojówek, przewidzianych dla obrony Hitlera przed 1933 rokiem; po objęciu władzy w Niemczech przez narodowy socjalizm oddziałom tym wyznaczono cel: “obrony państwa na wewnątrz.” Poszczególne pułki tych S.S. (Standarten) nosiły nazwę “Adolf Hitler,” “Deutschland,” “Germania,” “Der Führer” itd. W chwili wybuchu wojny większość tych pułków zwiększono do stanu dywizji i poszły one na front. Na wschodzie wiele tych specjalnych oddziałów, szkolonych głównie dla tłumienia rozruchów wewnętrznych, zostało rozbitych lub zdziesiątkowanych. Dziś partia szybko uzupełnia ich stan.

Przy całej ostrożności, z jaką należy analizować wszystkie wieści na tematy rozgrywek wewnętrznych w Niemczech, wolno jednak wyciągać pewne wnioski. Armia niemiecka reprezentuje dużą jednolitość swej tradycji, jej korpus oficerski—zwłaszcza wyżsi dowódcy—reprezentuje jeszcze dziś w ogromnym odsetku starą szkołę. Nie byłoby rzeczą dziwną, gdyby reprezentanci pruskiego militarizmu pokusili się o ratowanie Rzeszy (n.p. przez ofertę pokojową) przed doprowadzeniem sytuacji państwa niemieckiego przez partię do ostateczności—to znaczy do zupełnej klęski. Jaką drogę by armia ku temu obrała, zależałoby oczywiście tylko od tego, czy i jakie talenty polityczne odnalazłyby się wśród jej dowódców. Wkroczenie armii na arenę życia politycznego Niemiec mogłoby się dokonać tylko wbrew partii, ale wcale nie wbrew Hitlerowi, który może temu nawet przyklasnąć, bądź przez usunięcie się od życia politycznego (rozważał już takie pomysły w gronie swych przyjaciół) bądź też przez udzielenie tym posunięciom

swego autorytetu. Partia natomiast może użyć wszelkich środków wpływu na Hitlera (n.p. pajęcza sieć Himmlera), aby w zarodku sparaliżować każdą opozycję wojskowych. Wtedy może zwyciężyć duch Roehma, w którego koncepcji leżało zrobienie z armii instrumentu partii, a nie traktowanie jej jako partnera.

Jedna i druga możliwość stanie się wtedy w pełni aktualna, gdy bardzo wyraźne stanie się dla samych Niemców widmo klęski niemieckiej. I jedna i druga możliwość jest równoznaczna z możliwościami rozstroju w Niemczech, więc z punktu

widzenia naszej walki z imperializmem niemieckim jest rzeczą bardzo pożądaną. Chyba, żeby czołowe czynniki alianckie pozwoliły złapać się na wędkę — rzekomej przyzwoitości i honoru armii niemieckiej, robiącej porządek z hitlerowskimi bandytami. Stąd przy wysuwaniu wniosków z analizy stosunku partii narodowo-socjalistycznej do wojska niemieckiego jest przede wszystkim ważne zdanie sobie sprawy ze współodpowiedzialności wszystkich bez wyjątku Niemców za to co stało się w Niemczech, a przez Niemców w całej Europie,

POMIESZANIE POJEĆ

WYTRAWNY polski pisarz wojskowy, znany zresztą z działalności i na innych polach, p. Marian Kukiel, wystąpił na łamach „Polski Walczącej” (z dn. 31.1.1942 r.) z artykułem p.t. „Jedność działania,” w którym broni zasady połączenia w polskiej rzeczywistości politycznej funkcji premiera i naczelnego wodza. Znany pisarz ułatwił sobie jednak to bardzo niewdzięczne i trudne zadanie, podstawiając pod pojęcia funkcji pojęcia władzy i jednostronnie interpretując przykłady historyczne. W ten sposób zamiast do jedności działania doszedł tylko do pomieszania pojęć.

A mianowicie.

Uwaga o splugawieniu słowa dyktatura jest czysto teoretyczna i niema w praktyce żadnego znaczenia. Rozumiem i nawet pochwalam ścisłość, która przypomina, że dyktatura to dawna instytucja prawa rzymskiego. To co dzisiaj nazywamy dyktaturami, należałoby właściwie określać jako tyranie, bo dyktator był tylko — wedle naszych współczesnych terminów — premierem wyposażonym na czas z góry określony w pełnomocnictwa nadzwyczajne, słowo tyran zaś oznacza władcę, który sprawuje swoją władzę samowolnie bez względu na prawo i na uprawnienia obywateli. Skoro jednak już w starożytnym Rzymie dyktatura zwyrodniała w tyranie, więc dajmy pokój akademickiej dyskusji o słowa. Dyktator a tyran to dzisiaj pojęcia jednoznaczne. Decyduje praktyka językowa, a nie puryzm profesorów.

P. Kukielowi jednak ta apologia instytucji dyktatury potrzebna jest do porównań historycznych i do obrony dzisiejszego stanu rzeczy w stosunkach polskich. Więc twierdzi on, że Waszyngton i Kościuszko byli dyktatorami i łączyli w swoim ręku naczelne dowództwo i kierownictwo spraw politycznych, oraz że w naszym Powstaniu Styczniowym było kilku dyktatorów. *Comparaison n'est pas raison.* Wszyscy wymienieni byli przedstawicielami władzy wyłonionej z rewolucji. Waszyngton stał na czele powstania przeciw Koronie angielskiej, Kościuszko wystąpił do walki z najeźdźcami wbrew ówczesnej władzy królewskiej Stanisława Augusta, dyktatorzy w 1863 r. również byli kierownikami powstania. Nie można wymagać od powstańców, by zachowywali prawa, których nie uznają i na miejsce których siłą chcą postawić nowe. Nie można natomiast powiedzieć tego samego o dzisiejszym Rządzie polskim, który nie jest kierownictwem ruchu rewolucyjnego, lecz rządem opartego na prawie normalnego państwa. Szef tego rządu, nim nim został, dochowywał lojalności obowiązującemu prawu, jakkolwiek przeciwstawiał się politycznie grupie rządzącej w Polsce. Władza Rządu polskiego nie wywodzi się więc z rewolucji i dyktatury rewolucyjnej nam niepotrzeba, bo toby nie przyniosło pożytku w sprawach zagranicznych, a w stosunkach wewnętrznych mogło by nas zaprowadzić nie wiadomo jeszcze dokąd. No i gdyby u nas miała obowiązywać zasada dyktatury, to nie trzeba nazywać tego demokracją!

Co się zaś tyczy przykładu Napoleona I we Francji, którego wielbicielem jest historyk i wojskowy Kukiel, to nie widzę tu absolutnie żadnego *tertium comparationis* i uważam, że dyskusja jest zbyteczna.

Pełnego natomiast pomieszania pojęć dowodzą porównania

kompetencji ustrojowej obecnego polskiego premiera i Clemenceau we Francji oraz Churchilla w Anglii. Są to przykłady oczywiście błędnie dobrane. Żaden z tych premierów nie łączył i nie łączy — jeśli idzie o Churchilla — funkcji premiera i naczelnego wodza. Oślaniali oni swoim autorytetem naczelnych wodzów przed forum politycznym, ale nieposługiwali się autorytetem naczelnego wodza na rzecz siebie samych w polityce. Za czasów Clemenceau naczelnym wodzem armii francuskiej był Petain, za naczelnego wodza wojsk brytyjskich uważać należy Szefa Imperialnego Sztabu Generalnego generała Sir Alan Brooke'a.

Do takiego pomieszania pojęć doszedł p. Marian Kukiel podstawiając pod pojęcie funkcji, czy też kompetencji, pojęcia władzy. Władza państwowa jest jedna i niepodzielna, kompetencje tylko bywają podzielone. Jednolitą i niepodzielną władzę państwową piastuje i reprezentuje głowa państwa, o ile oczywiście nie jest tylko malowana, jak się wyraził nasz król Stefan.

W ustrojach demokratycznych istnieje podział funkcji — w celu wzajemnej kontroli. Jest to istotą demokracji. Podział funkcji może być również w dyktaturach, jak np. w Niemczech, gdzie Hitler objął osobiście naczelne dowództwo po feldmarszałku von Brauschitschu dopiero 21 grudnia 1941. W dyktaturach podział funkcji jest wyrazem potrzeb technicznych: jeden człowiek nie może myśleć równocześnie o wszystkim, a dzień ma tylko 24 godzin. Rzeczowo również jest lepiej, jeżeli dwa takie działy jak wojsko i polityka są prowadzone oddzielnie przez ludzi specjalizujących się w danych zagadnieniach. Wreszcie zagadnienie samo zawsze zyskuje na tym, jeżeli koncepcja czy decyzja jednego człowieka oddana zostaje ocenie drugiego z cokolwiek odmiennego punktu widzenia. Taki system pracy utrudnia robienie pomyłek i błędów, poprawia nieraz decyzje w ostatniej chwili. Ludzie są omylni, zwłaszcza jeżeli zatracili miarę oceny własnych czynów, co jakże często zdarza się zdany na samych siebie dyktatorom. Więc jakkolwiek dyktator niemiecki decyduje w Niemczech o wszystkim, wołał jednak mieć osobnego naczelnego wodza i objęcie tej funkcji osobiście przez Hitlera słusznie jest uważane za wyraz rozterek wewnętrznych wobec niepowodzeń wojennych.

W ustrojach demokratycznych jednak podział funkcji ma znaczenie nie tylko techniczno-rzeczowe, lecz — i to przede wszystkim — polityczne i moralne. Podział ten oznacza, że społeczność nie zawiera swoich losów jednostce, że jednostka nie może być ponad społecznością i może tylko kierować częścią całości zagadnień. Podział ten ma znaczenie ustrojowe, organiczne. Oznacza on wyższy stopień rozwoju społecznego. W społeczeństwach pierwotnych losami całości kierował król, heros czy też czarownik. Społeczeństwo nowoczesne wyrobiło w tym celu szereg instytucji, gdyż opiera się ono nie na więzi osobowej, lecz na idei wyższego rzędu.

W naszych czasach wiele przykładów łączenia funkcji wojskowych i cywilnych w polityce państwowej dostarczyły republiki Ameryki t.zw. łacińskiej. One to wymodelowały typ generała rządzącego państwem. Od tych wzorów odległy był

(Ciąg dalszy na str. 340.)

KOMUNIKAT

STRONNICTWA NARODOWEGO

Panowie Marian Seyda i prof. Wacław Komarnicki, którzy wbrew stanowisku Stron. Nar. przyjęli teki ministerialne w rządzie gen. Sikorskiego, zostali w dniu 21.1.1942 r. wykluczeni z szeregów S.N. decyzją władz stronnictwa, zaaprobowaną jednomyślnie (przy p. Seydzie jeden głos się wstrzymał) przez Komitet Polityczny S.N. w Londynie.

Ponadto skreśleni zostali z listy członków S.N. pp. M. Chelmickowski, L. Rybiński i p. Zofia Zaleska — za przyjęcie mandatów do Rady Narodowej wbrew woli i wiedzy władz Stronnictwa Narodowego.



Skreślenie wymienionych w komunikacie Stronnictwa Narodowego osób z listy członków S.N. zostało dokonane zgodnie ze statutem Stronnictwa przez legalne władze, wybrane przez Radę Naczelną S.N. tuż przed wybuchem wojny. Ponadto Stronnictwo Narodowe w kraju zawiadomiło już w czasie wojny — o czym czynniki rządowe wiedzą — że w imieniu Stronnictwa w sposób wiążący występować mogą jedynie pp. Tadeusz Bielecki, prezes Zarządu Głównego i prof. Władysław Folkierski, prezes Rady Naczelnej S.N.

W ten sposób dla każdego myślącego kategoriami prawno-politycznymi sprawa jest całkowicie wyjaśniona.

W każdym żywym ruchu politycznym bywają ludzie, którzy zeń odchodzą i inni, którzy doń przychodzą. Każde ze stronnictw czy organizacji politycznych ma prawo i możliwość przez powołane do tego władze pozbywać się jednostek, które się w danym ruchu nie mieszczą i przyjmować nowych członków, którzy się do danego ruchu zgłaszają. Jest to zasada znana, i w ustrojach demokratycznych uznawana nie tylko przez dany ruch, ale i przez inne stronnictwa oraz przez czynniki rządowe, które dbają o podstawy praworządności w życiu publicznym. System inny, który by poza stronnictwami mianował ich przedstawicieli, a nawet ich członków, mógłby uchodzić za demokratyczny jedynie w jakimś ustroju karykaturalnie dyktatorialnym.

Tak tedy dla Stronnictwa Narodowego sprawa jest ostatecznie załatwiona: pp. Seyda i Komarnicki przestali być członkami Stronnictwa — na równi z trzema członkami Rady Narodowej, wyżej wymienionymi — niezależnie od tego, czy decyzję władz S.N. uznają czy nie. Panowie ci reprezentują w Rządzie i Radzie tylko siebie samych, a nie Stronnictwo. Faktu tego nie może przeinaczyć ani zamazać najbardziej nawet rozmijająca się z prawdą propaganda. Żadne tłumaczenia obalić faktów nie zdołają. A że wymienieni panowie tłumaczyć się będą i już tłumaczą, rzecz to zrozumiała: tłumaczyć się będą przez całe swoje życie.

Na surową decyzję władz Stronnictwa wpłynął sposób przyjęcia przez wymienionych panów tek ministerialnych. Uczynili to oni w ukryciu, poza plecami swego Stronnictwa, z pełną wolą stworzenia t.zw. faktu dokonanego. Rezultatem takiego postępowania było i to, że weszli do Rządu bez postawienia warunków politycznych, które by prace Rządu uczyniły bardziej skutecznymi i zgodnymi z interesami Narodu. Tego dokonawszy, panowie ci zaproponowali uznanie ex post ich samowolnego wejścia do Rządu, w zamian za co ofiarowali miejsca w Radzie pp. Bieleckiemu i Folkierskiemu pod warunkiem „lojalnego współdziałania z tym Rządem”. Nie dziw, że i ta propozycja, i ten zbyt dobrze znany słownik polityczny, zostały z miejsca odrzucone, a stawiający je ze Stronnictwa wykluczeni.

Możnaby poprzestać na tym stwierdzeniu, gdyby nie to, że panowie, o których mowa, zaczęli robić ze siebie przedstawicieli

Obozu Narodowego, a prasa rządowa usłużnie zaliczyła ich — do Stronnictwa Narodowego. Wśród tych mianowanych członków Stronnictwa Narodowego znalazł się i taki, który w ogóle nigdy do Stronnictwa nie należał.

Wkraczamy tu już w dziedzinę nie tyle polityczną, co moralno-polityczną.

Wolno było tym panom, jeżeli nie uznawali taktyki S.N. bądź celów do których ruch narodowy dąży, opuścić szeregi Stronnictwa, zgłaszając swoje wystąpienie, ale nie wolno im głosić, że reprezentują Stronnictwo i z jego ramienia wchodzi do Rządu i Rady Narodowej.

Rozumiemy co prawda dlaczego tak czynią: inaczej bowiem nie byłoby potrzebni Rządowi.

Powolywanie się na to, że mają osobisty autorytet, widocznie nie wystarczało, skoro muszą powolywać się na Stronnictwo lub Obóz Narodowy.

Z punktu widzenia organizacyjno-politycznego odejście kilku panów ze Stronnictwa, które przed wojną posiadało, nie licząc dziesiątków tysięcy sympatyków, zapisanych członków przeszło pół miliona, a w czasie wojny wpływy swoje — mimo dużych strat, ponoszonych w walce z okupantem — znakomicie powiększyło, w niczym, rzecz prosta, nie osłabi walk i prac Stronnictwa. Przeciwnie, Stronnictwo Narodowe po pozbyciu się obcej mu, jak się okazało, drzazgi w jego organizmie, tym łatwiej i mocniej poprowadzi walkę o podstawy polityki polskiej.

Tak więc Rząd, który sądził, że pozyskał Stronnictwo Narodowe, chwycił jeno parę cieni, za którymi nie stoi nic ani w kraju ani na uchodźstwie. Któż będzie główną ofiarą tej komedii pomyłek?

Metoda, którą zastosowano do Stronnictwa Narodowego, a na którą poszły niebacznie inne stronnictwa, przypomina do złudzenia sposoby i procedury tak dobrze znane z okresu sanacji. Zbyt szybko zapomniano widocznie, że metody te, miast bić w przeciwnika, uderzyły i ugodziły tych, co je stosowali.

Nie zajmowalibyśmy się tym tyle, gdyby nie czasy wyjątkowo tragiczne, w jakich żyjemy, czasy, kiedy się waży losy Polski i świata.

Zabawy w taką politykę i próby rozbijania wielkich stronnictw i ruchów ideowych nie licują z chwilą, wymagającą ponad wszystko zespolenia wszystkich sił Narodu w walce nie o władzę ale o Polskę. Jakżeż ciężkie, historyczne będą przewiny tych, co tego nie rozumieją i postępują inaczej.

Stronnictwo Narodowe w dalszym ciągu prowadzić będzie nieugiętą walkę nie tylko o kierunek ale i o poziom polityki polskiej czasu wojny.

Kryzys polityczny trwa i został pogłębiony.

(ciąg dalszy ze str. 338)

jednak Clemenceau i odległy jest Winston Churchill. Żaden z nich nie przenosił metody działania wojskowego — rozkazu — do polityki, ani metody cywilnej — dyskusji politycznej, propagandy i agitacji — do wojska.

Funkcje premiera i naczelnego wodza są zasadniczo nie do połączenia. Jeżeli zaś są one u nas połączone, to trzeba to traktować jako stan nienormalny, „zło konieczne,” które trzeba się starać usunąć jaknajprędzej. Naczelnym wodzą ma prowadzić operacje wojenne lub je przygotowywać. Nie może mu w tym przeszkadzać polityka. Naczelnym wodzą nie styka się z bieżącą polityką. Odpowiedzialność polityczną za niego bierze rząd. Naczelnym wodzą nie może być przedmiotem publicznych dyskusji politycznych, nie może być krytykowany publicznie, natomiast rząd nie tylko może lecz powinien być krytykowany. Żle jest, jeżeli naczelnym wodzą jest krytykowany, dlatego że jest równocześnie premierem, a premier nie jest krytykowany i uważany jest za nietykalnego w dyskusji i krytyce, bo jest naczelnym wodzą.

Napisano już o tym tyle, że nie będę tych rzeczy powtarzał. Są one w umysłowości europejskiej już ustalone. Tylko w Polsce na nieszczęście ustalił się typ działania publicznego, który polega na tym, że wojskowy w blasku munduru wkracza do polityki i działa tam powołując się na przywiązanie i oddanie mu armii. Tymczasem armia wypowiedzieć się nie może jako „wielka niemowa.” Pociąga to za sobą szereg konsekwencji, których tu dzisiaj nie zamierzam przedstawiać. Ten typ jednak działania publicznego niema nic wspólnego z Waszyngtonem

i Kościuszką. Wprowadzony on został do Polski zupełnie nie dawno i szkoda że p. Kukiel pominął to źródło w swoich inspiracjach ustrojowych. Nie trzeba się tego wstydzić, jak nigdy nie należy się wstydzić własnej przeszłości, jeżeli była ideowa, choćby była błędna.

Nie trzeba też do zagadnienia naszych niedomagań ustrojowych ustosunkowywać się z punktu widzenia bieżącej taktyki politycznej. Nienormalny stan ustrojowy może przynieść tak wielkie szkody moralne, iż złą przysługę oddaje szefowi rządu ten, kto mu do nienormalnego stanu ustrojowego dorabia teorię prawną.

Jesteśmy tysiącletnim narodem z własną historią i własnymi doświadczeniami. Jeżeli zaś mamy czerpać także z obcych doświadczeń, to oczywiście już lepiej z doświadczeń naszych sojuszników, a nie przeciwników. Chodzi bowiem o to, komu jesteśmy ideowo i moralnie bliżsi. Nie trzeba jednak tych sojuszniczych przykładów przeinaczać; Churchill jednocy w sobie władzę wykonawczą w Wielkiej Brytanii, ciesząc się zaufaniem Króla i Parlamentu i przewodnicząc rządowi prawdziwej jedności narodowej. Jako zastępca w czasie jego nieobecności występuje przywódca stronnictwa przeciwnego: mjr. Attlee. Churchill nie dubluje Sir Alan Brooke'a, a Sir Alan Brooke nie dubluje Churchilla. W prasie brytyjskiej również nie ukazują się artykuły pisane w tym duchu, co artykuł p. Mariana Kukieła i przez autorów zajmujących stanowiska, odpowiadające stanowisku w tutejszym świecie polskim p. Mariana Kukieła.

N. K.

NOTY I UWAGI

ZWIĄZEK POLSKI I CZECHOSŁOWACJI

Rządy polski i czeskosłowacki w Londynie ogłosiły w dniu 24 stycznia 1942 układ o zasadach przyszłego trwałego związku, który ma łączyć oba państwa. Układ ma na razie charakter deklaratoryjny, gdyż musi być przyjęty i ratyfikowany przez odpowiednie organy obu państw, wyłonione w kraju w drodze konstytucyjnej. Nie mniej znaczenie układu jest o wiele większe, niżby z tego charakteru deklaratoryjnego wynikać mogło. W tej chwili układ ma znaczenie głównie propagandowe. W świecie anglosaskim został przyjęty życzliwie.

Układ ten jednak w przyszłości tylko o tyle mieć będzie znaczenie, jeżeli stanie się wyrazem oporu Europy Środkowo-Wschodniej przeciw Niemcom, a nie tylko przeciw hitleryzmowi. Oba narody od tysiąca lat walczą z niemczyzną i tu jest środek ciężkości przyszłej konstrukcji, a nie np. w tym, żeby Polacy podtrzymywali Słowaków w staraniu się o posady państwowe w Czechosłowacji, lub żeby podobne wpływy przenikały z Czechosłowacji do Polski. Te układy międzynarodowe są trwałe, które opierają się na potrzebach życia, a nie na elementach doktrynalnych.

Zadanie oparcia się Niemcom będzie tym lepiej wykonane, im mniej pozostawi się szczelin w Europie Środkowo-Wschodniej dla penetracji niemieckiej. Dlatego ważny jest ustęp układu, który mówi o przystąpieniu do przyszłego związku także innych państw tego samego obszaru europejskiego. Zrozumienie problemu każe się spodziewać, iż polityka Polski i Czechosłowacji iść będzie w kierunku wciągnięcia do przyszłego związku Węgier — oczywiście jeżeli one okażą zrozumienie dla nowej sytuacji europejskiej i nowych zadań —, a natomiast że pominie się w tych planowaniach Austrię. Trzeba wyrwać Węgry z pod wpływów niemieckich i zlikwidować wszelkie możliwości niemczyzny na obszarze żywotnym dla dwu lub trzech konfederujących się państw. Związek Polski, Czechosłowacji i Węgier nawiązywałby do tradycji polityki jagiellońskiej z przed układu z Habsburgami w 1515 roku. I w tym wypadku widzimy, iż przeszłość wskazuje, jak należy postępować i jak nie należy postępować. Trzeba myśleć kategoriami rzeczywistości, zapisanej w historii starej i nowej, a wystrzegać się myślenia doktrynalnego. Bodaj, iż w tych doktrynalnych błędach europejskich polityków należy upatrywać źródło nieszczęść, które spadły na świat.

ODEZWY PREZYDENTA ROOSEVELTA

Prezydent Roosevelt jest politykiem wielkiego formatu, nie zapominającym o niczym. Po uporządkowaniu u siebie spraw prowadzenia operacji wojennych, dalszej mobilizacji amerykańskich sił zbrojnych i produkcji na potrzeby wojny, przystąpił prawie równocześnie do akcji propagandowo-politycznej. Ten dział w rządzie amerykańskim powierzył Prezydent Roosevelt płk. Donovanowi, który pół roku temu jeszcze odbywał podróż po tych krajach europejskich, do których tylko mógł jeszcze dotrzeć. Płk. Donovan jest Ministrem Informacji w Waszyngtonie, choć nie nosi tego tytułu.

Płk. Donovan wydał w imieniu Prezydenta odezwę do każdego z poszczególnych narodów europejskich, ujarzmionych przez Niemcy. M. i. taką odezwę ogłosiło biuro płk. Donovana do narodu polskiego. Podał ją „Dziennik Polski”, nie informując jednak swoich czytelników — nie wiadomo dlaczego — o innych odezwach w imieniu Prezydenta Roosevelta.

Pomimo, że odezwa Prezydenta Roosevelta do narodu polskiego jest tylko jedną z szeregu takich odezw, należy ją ocenić bardzo dodatnio. Odezwa jest rekapitulacją stanu rzeczy w Polsce pod rządami niemieckimi, świadczy więc, że rząd amerykański jest poinformowany o tym, co się w Polsce dzieje. Pod względem politycznym ważne jest kilkakrotnie stwierdzenie, iż Polska pierwsza chwyciła za broń oraz, że włączenie pewnych terenów Polski do Rzeszy i rugowanie stamtąd milionów Polaków jest zwyżczającym gwałtem. Nieprzyjemne natomiast dla Polaków odróżnianie hitlerowców od Niemców w odezwie należy na razie położyć na karb ogólniejszych względów politycznych, zrozumiałych w Ameryce.

CIENIE . . .

Poród nowej Rady Narodowej trwał bardzo długo. Dekret Prezydenta R.P. z dnia 3 września 1941, rozwiązujący poprzednią Radę zapowiadał powołanie nowej „w najbliższym czasie”. Nowa Rada powołana została dekretem z 9 lutego 1942 r., a zebrać się ma po raz pierwszy 24 lutego 1942 r.

Skład nowej Rady nie przyniósł w panujących obecnie stosunkach żadnych rewelacji. Jest to Rada, która odpowiada poziomem, doborem i t.d. obecnemu Rządowi. Nic dziwnego, gdyż Radę mianuje Rząd, który stanął na stanowisku, że sam decyduje, kto ma reprezentować społeczeństwo. Jest to najnow-

sza teoria konstytucyjna, którą z powagą i namaszczeniem wygłaszają niektórzy wiekowi profesorowie, rzucając na szalę swój cały autorytet, sięgający jeszcze XIX wieku. Jeśli idzie więc o zależność Rady od Rządu — zarówno co do sposobu powołania, jak i składu osobowego — to można powiedzieć tak: poprzednia Rada była cieniem parlamentu, obecna jest cieniem sanacyjnego parlamentu, tak dobrze znanego w Polsce.

W obecnych krwawych zapasach wszędzie woła się o młodych przywódców. Odmłodzono więc i nową Radę, ale — na papierze. W „Dzienniku Polskim” odmłodzono prof. Grabskiego o . . . 30 lat, p. Rybińskiego o 10 lat. Wedle teorii psychoanalizy pomyłki takie są wyrazem „niewyżytych” i podświadomych pragnień . . .

Politycznie najsilniejsza jest w Radzie grupa socjalistyczna, składająca się z wyrobionych działaczy. Ściśle z polskimi socjalistami współpracować będzie zapewne przedstawiciel żydowskich socjalistów p. Szmul Zygielbojm, który — wedle „Dziennika Polskiego” — jest jedynym w Radzie przedstawicielem obrony Warszawy jako członek komitetu . . . opieki nad ludnością cywilną. Razem z 6 socjalistami występować będzie zapewne co najmniej dwu członków z grupy „bezpartyjnej.” Inne delegacje są o wiele słabsze, z wyjątkiem żydowskiej. Najsłabsza jest grupa, o której rząd utrzymuje, iż reprezentuje narodowców.

Ciekawie przedstawia się sprawa żydowskich członków Rady. Rząd, zdecydowawszy się na danie dwu miejsc w Radzie Żydom, miał do wyboru cztery żydowskie stronnictwa: konserwatywno-religijne — Agudę, międzynarodowo-socjalistyczne — Bund, oraz dwa stronnictwa syjonistyczne: starych syjonistów i nowych czyli rewizjonistów. Między Agudą, reprezentującą umiarkowane żydostwo, dostosowujące się w granicach swoich poglądów narodowo-religijnych do państwowości polskiej, a Bundem międzynarodowym politycznie i nieraz antypolskim, — Rząd wybrał Bund. Syjoniści dzielą się na dwa kierunki. Pierwszy określić można wedle znanej anegdoty, iż syjonista to Żyd, który za pieniądze drugiego Żyda wysłał trzeciego Żyda do Palestyny. Dla tych syjonistów Palestyna jest raczej symbolem dążeń żydowskich, niż krajem realnego osiedlenia. Rewizjoniści natomiast, broniąc interesów żydowskich we wszystkich krajach, dążą jednak do prawdziwego państwa żydowskiego w Palestynie, do którego chcą skierować znaczne masy Żydów z krajów, gdzie kwestia żydowska jest najbardziej ostra — z Europy środkowo-wschodniej. Nikt nie wytłumaczył, dlaczego Rząd wybrał sobie przedstawicieli syjonistów właśnie z grupy niechcącej widzieć istoty problemu żydowskiego . . . Może zadecydowała tu osoba przedstawiciela starych syjonistów, który powszechnie uchodzi za najsilniejsze oparcie parlamentarne — w tym parlamencie cieniów — najściślej grupy rządowej. . . .

PARĘ UWAG PRO MEMORIA

PAT w Dzienniku Polskim donosi: „Ministrowie Seyda i Komarnicki przedstawiani są opinii amerykańskiej jako szczerzy demokraci i przywódcy polityczni, cieszący się zaufaniem najszerzych polskich sfer narodowych.”

Istotnie, nie za darmo PAT bierze pieniądze. Istotnie, pp. Seyda i Komarnicki bardzo rychło spełnili w gabinecie misję, do której ich powołano. Więc też i nie dziwimy się, iż w doniesieniu PAT, a o naradzie sojuszniczej u polskiego premiera „na temat wspólnej akcji w odniesieniu do najważniejszych spraw dotyczących przyszłości” znalazły się nazwiska uczestników narady ze strony polskiej takich, jak dr. Retinger, natomiast nie znalazło się nazwisko ministra resortowego w tym zakresie — p. Seydy.

W związku z depeszą PAT, a z Ameryki o tamtejszym entuzjazmie z powodu nominacji „Dziennik Polski,” zapewne na życzenie obu nominatów, ogłosił, że „ministrowie Seyda i Komarnicki nie złożyli przed mianowaniem ich żadnych specjalnych deklaracji. Tymczasem socjalistyczny „Robotnik Polski” pisze, że „przedstawiciele Stronnictwa Narodowego w rządzie przed ich mianowaniem złożyli oświadczenie, że solidaryzują się w zupełności z zasadami u talonami w znanej naszym czytelnikom deklaracji trzech stronnictw.”

Więc ustalcie panowie, jak macie mówić: złożyli, albo nie złożyli? Nawiasem wspomnijmy, że chodzi tu o tę słynną deklarację stronnictw popierających rząd, która głosi, iż „wykluczone są n a p r z y s z ł o ś ć rządu jednostki lub kliki.”

„Robotnikowi” trzeba zresztą zakonotować zdanie, iż jest rzeczą „niemal” obojętną, czy pp. Seyda i Komarnicki weszli do Rządu delegowani tam przez Stronnictwo czy na własną rękę. Zaczekamy do najbliższej sposobności, co socjaliści powiedzą na takie „niemal.”

W każdym razie Rządowi tak bardzo trzeba było narodowców iż mianowanym przez siebie rzekomym przedstawicielom tego kierunku wynotowano skrupulatnie w życiorysach i ogłoszono w „Dzienniku Polskim,” kto z nich pochodzi z Obozu Wielkiej Polski. Okazuje się więc, że ściślej ze koła rządowe nie miałyby nic przeciw Obozowi Wielkiej Polski, byle tylko był po ich stronie, a nie przeciwnej. No i byle można mianować przedstawicieli O.W.P. wedle swojej woli. . . .

Nie jest to pierwszyna w naszych stosunkach emigracyjnych. W poprzedniej Radzie Narodowej tak właśnie postawiono problem przedstawicielstwa O.N.R.

Uwaga szczególna, poświęcona min. Seydzie:

W swoim przemówieniu do kraju wygłosił on twierdzenie dotyczące faktów, a niezgodne z rzeczywistością.

Mianowicie min. Seyda oświadczył, że już po jego dymisji w lipcu ub. r. układ z Sowietami uległ poprawkom w tych sformułowaniach, o które min. Seydzie przy dymisji chodziło. Jest to twierdzenie obiektywnie niezgodne z rzeczywistością. Jakież to poprawki?

*

Jako ogólna uwaga nasuwa się cytat z „Polski Walczącej” z artykułu p. Mieczysława Szerera, zresztą jednego z członków nowej Rady Narodowej:

„. . . w gruncie rzeczy demokracja nie jest niczym innym, jak wyrazem politycznym uczciwego stosunku ludzi do siebie i do wspólnych im spraw. Uczciwi Anglicy są pionierami demokracji.”

Gdzie ta demokracja w stosunkach polskich?

r.

Z PRASY I PUBLICYSTYKI

REALIZM I IDEOLOGIA

Bardzo ciekawe artykuły polityczne miesięcznika „Nineteenth Century and after” odznaczają się zawsze wybitnym zmysłem realizmu politycznego, co zwłaszcza w stosunku do przyszłych Niemiec jest cechą rzadką i pożądaną w tym kraju. Zeszyt lutowy przynosi rozważania wstępne dość nieoczekiwane na temat istoty wojny.

Autor zdecydowanie sprzeciwia się zapamiętywaniu, jakoby wojna była ideologiczna. „Wojna jest konfliktem narodów, nie ideologii” Gdyby było przeciwnie, wystarczyłoby wskazać usunąć hitleryzm. — No tak, ale zostałyby Niemcy, jako niebezpieczeństwo przed — i pohitlerowskie. — Właśnie dlatego wojna nie

jest ideologicznym konfliktem, ale konfliktem narodów.

Wojna, ciągnie dalej autor artykułu, między narodami nie toczy się o wewnętrzne swobody danego państwa. Gdyby — co broń Panie Boże — wojna pozostawiła Anglię w rozterkach wewnętrznych grożących jednemu narodowi, należałoby ustanowić rząd despotyczny, który by temu zaradził. Gdyby dobre i romantyczne Niemcy posunęły się tak daleko, żeby chciały ratować swobody obywatelskie w Anglii, i nawet je siłą narzucić (!) Anglii — o ile chciałaby żyć jako mocarstwo — musiałaby zwalczać taki stan wolnościowy, bo nie masz wolności narzuconych przez zewnętrznego wroga. „Choć wolność jest cenna, a despotyzm nienawistny, lepszy jest despotyzm

własny niż wolność narzucona przez wroga.”

Uwagi te, nieco teoretyczne, ale jakże znamienne dla gry angielskiej wyobraźni politycznej, są dla nas cenne o tyle, że przebijają w lot i dokładnie wszelkie mrzonki i marzenia o „dobrych” Niemcach, jakie się zjawiać mogą po zniknięciu hitleryzmu. Idea hitlerowska, obca i nienawistna całemu Zachodowi i zachodniej cywilizacji, nie jest złem największym: „Śmiertelnym niebezpieczeństwem jest stare niebezpieczeństwo Germanii, wszystko jedno czy despotycznej czy demokratycznej, czy reakcyjnej czy postępowej, Germanii zażywającej nienormalnej władzy w Europie (*Germany wielding exorbitant power in Europe*). Nie jesteśmy w wojnie z ideą germańską, ale

z narodem germańskim. To musimy wciąż mieć w myśli, zwłaszcza teraz, gdy zdarzyć się może, że idea, dla której Niemcy poszli do wojny — zczeźnię: nawet jeśli zczeźnię, niebezpieczeństwo niemieckie zostanie.” Zabawiając swą wyobraźnię polityczną dużą dozą trzeźwości i realizmu, redaktor *Nineteenth Century* kreśli wcale drobiazgowy obraz przyszłej „rewolucji” niemieckiej, rewolucji planowanej i planowej, w której wszystko będzie tak ułożone, że aż — ładne w oczach naiwnych Anglosasów „pilnie organizujących współczucie” dla „biednych” Niemców . . .

Rzeczywistość żąda czego innego:

„Wojna będzie daremna, a pokój przegrany, ba, trzecia Wojna Światowa będzie przyspieszona, jeżeli potęgą wojenna Niemiec nie będzie doszczętnie złamana przez doszczętną klęskę, i jeśli ta potęga nie zostanie złamana przez pokój, ani mściwy ani wspaniałomyślny, ani „sprawiedliwy” ani „niesprawiedliwy,” ale właśnie ograniczony do tego jednego pragmatycznego celu, jakim jest trwałe złamanie potęgi niemieckiej. Wieczyste rozbrojenie Niemiec, przywrócenie anglofrancuskiego przymierza, silna Polska i silna Czechosłowacja z dobrymi granicami strategicznymi i w trwałym aliansie ze sobą, oraz, ponad wszystko, Anglia dość mocna na ziemi, morzu i w powietrzu, aby bronić siebie i swego Imperium przed jakąkolwiek wroga konfederacją — oto warunki trwałego pokoju w Europie.”

Taki układ sił europejskich nazywa autor tradycyjnie „równowagą sił” — *balance of power* — w Europie i świecie.

DEKLARACJA W ST. JAMES PALACE

Tenże artykuł redaktora *Nineteenth Century* surowo ocenia znaną deklarację rządów wygnańczych o odpowiedzialności Niemiec: „Deklaracja podpisana przez Sprzymierzonych w pałacu St. James dnia 13 stycznia uderza nas swoją błahością (frivolous). Czyż nie nauczyliśmy się niczego z ostatniej wojny? Udało się nam wtedy, bo Wilhelm II nie stanął przed sądem: sąd ten byłby był tylko parodią prowadzącą do uwolnienia od winy i kary, albo „do męczeństwa.” — Według jakiego prawa zamierzają Sprzymierzeni tym razem sądzić „wojennych winowajców”? Według prawa międzynarodowego? Tam nie znajdują takiej rzeczy. W opinii publicznej zachodzi niewątpliwie pomieszenie pojęć między „ius” a „lex.” Zdaje się, że to ta konfuzja pojęć ponosi odpowiedzialność za posiedzenie w St. James, które, jeśli się nie mylimy, było próbą podobania się publiczności i zaspokojenia jej naturalnego pragnienia ofiarowaniem jej czegoś, co nie jest ani zemstą, ani wynagrodzeniem, ani sprawiedliwością. A może Sprzymierzeni zamierzają utworzyć specjalne prawodawstwo sądownie tych „wojennych zbrodniarzy”? Jaki trybunał zamierzają powołać? Czy sami zamierzają odegrać rolę sędziego, prokuratora i przysięgłych? Kompetencja takiego trybunału byłaby poddana dyskusji przez poważnych prawników na całym świecie. . . .”

ECHA MOSKIEWSKIE

Jeden z wybitniejszych członków brytyjskiego parlamentu komandor King Hall, nie należący obecnie do żadnego stronnictwa, wydaje swoje własne prywatne pismo tygodniowe p.t. *National News Letter*. Bardzo ciekawą wiadomość z tego prywatnego pisma cytuję jeden z ostatnich numerów londyńskiego tygodnika *News Review*. Czytamy tam:

„Wedle *National News Letter* towarzyszy Stalin powiedział Edenowi w ostatnich rozmowach na Kremlu: „Rosyjska armia może pobić armię niemiecką i w tym wypadku Rosjanie z wielką starannością przedsięwzięli by kroki, by raz na zawsze uniemożliwić niemieckim militarystom powrót do władzy i zaprzęgnięcie do ich wozu energii niemieckiego narodu.”

„Urządziłyby się to jak następuje: wschodnia część Niemiec byłaby pod kontrolą Rosji, o południową zaś i zachodnią troszczyłaby się Francja, gdzie powstałby rząd komunistyczny”.

Inny londyński tygodnik „*Catholic Herald*” z dnia 23 stycznia 1942 daje na pierwszej stronie cały artykuł z mapką, na której rysuje nowe granice europejskie. Wedle tego artykułu Sowiety są zdecydowane po zwycięskiej wojnie zatrzymać państwa bałtyckie oraz Bessarabię i Bukowinę od Rumunii. Co zaś się tyczy Polski, to czytamy w tym piśmie:

„Żądania Polski są naturalnie powodem kłopotów, lecz wydaje się, że Rosja się zadowolili granicą linii demarkacyjnej między pierwotną okupacją niemiecką Polski i takąż okupacją rosyjską. Nastaje więc ona na zatrzymanie i wcielenie na stałe do Związku Sowieckiego Wschodniej Polski. Dla kompensaty popierać ona będzie silne zachodniopolskie państwo buforowe, które może wysunąć swoje własne żądania co do niemieckiego terytorium.”

„Co więcej, kwestia polska ułatwiona będzie przez fakt, iż istotne żądania Rosji w Europie nie wybiegają w kierunku bezpośrednio zachodnim, lecz raczej w kierunku południowo zachodnim, zgodnie z tradycją polityką rosyjską, gdzie domagałaby się „strefy wpływów ekonomicznych” na całym półwyspie bałkańskim z Węgrami włącznie na północy i Triestem na zachodzie”.

W dalszym ciągu nieznany „korespondent dyplomatyczny” pisma referuje, że sprawy polsko-sowieckie pozostawiłaby Wielka Brytania załatwieniu między obu zainteresowanymi stronami — zwłaszcza, iż gwarancją polskiej siły i niepodległości będzie związek z Czechosłowacją. Nie występowała by również Wielka Brytania w sprawach państw bałtyckich, Bessarabii i Bukowiny, natomiast sprzeciwiałaby się planom sowieckim na Bałkanach.

Z przytoczonych wyżej cytatów pierwszy — z pisma Komandora King Hall’a — ma charakter wiadomości z kół dyplomatycznych, która rzuca ciekawe światło na cele wojenne a raczej powojenne Sowietów. Drugi cytat — z *Catholic Herald* — jest objawem przyzwyczajania opinii brytyjskiej do pewnych koncepcji kontynentalnych. Wyrazem tego jest również wiadomość w *Sunday Dispatch* o wkroczeniu „wojsk polskich Rosji” na teren Białorusi oraz o zrzućaniu ulotek nad Polską przez „siły lotnicze sowieckie z obsadą pilotów polskich”. Do tego rodzaju działalności należy również film o robotniku polskim, który z pod okupacji niemieckiej uciekł do kraju wolności, do Sowietów, wstąpił do armii sowieckiej, która dała mu możność pomścić krzywdy w walce. Film ten jest wyświetlany obecnie w Londynie.

Wobec takiej akcji czynnik polski stosują taktykę raczej dziwną. Oświadczają przez radio na cały świat, że o żądaniach rosyjskich przewagi w Europie Wschodniej czy w całej Europie dowiadują się dopiero z propagandy niemieckiej. Nie uważamy też, żeby stan rzeczy odmalowany w depeszy P.A.T’a, podanej w *Dzienniku Polskim* z dn. 15 stycznia 1942, był politycznie dla Polski dodatni. Cytujemy:

„Prasa amerykańska wykazuje wyraźne zainteresowanie w sensie politycznym poglądem Generała Sikorskiego, że Rosja Sowiecka zarzuciła plany rewolucji światowej. Pogląd ten aprobowany został przez prasę zarówno republikańską, jak i demokratyczną, a nawet przez nieprzychylną Sowietom prowincjonalną prasę grupy Hearst’a”.

GŁOS ŻYDOWSKI O UKŁADZIE POLSKO-CZECHOSŁOWACKIM

Londyński *The Polish Jewish Observer* w Nr. z 30 stycznia b.r. zamieścił swoje własne naświetlenie znanego układu styczniowego między rządami Polski i Czechosłowacji w Londynie. Czytamy tam:

„Z żydowskiego punktu widzenia układ polsko-czechosłowacki jest, o ile to tylko możliwe, jeszcze bardziej ważny, niż niektórzy z nas zdają sobie z tego sprawę. Udokumentowano tam w słowach nie nasuwających wątpliwości, iż obywatele zarówno w Polsce jak i w Czechosłowacji mają na przyszłość zażywać całkowitej równości.”

„Po tamtej wojnie zasada równości została w niektórych wypadkach narzucona szeregowi europejskich państw od zewnątrz. Dlatego też w niektórych krajach wytworzyła się atmosfera przeciw temu. W Polsce plk. Beck skorzystał z pierwszej sposobności, ażeby wypowiedzieć traktat o mniejszościach, tłumacząc swój krok chęcią uwolnienia Polski od zobowiązań wobec własnych obywateli narzuconych przez czynniki zewnętrzne.”

„Układ podpisany w Londynie i gwarantujący przyszłą równość nie został narzucony od zewnątrz. Jest on wynikiem pełnego zrozumienia, iż zasady równości są podstawową koniecznością dla pomyślności państw skonfederowanych. Żaden przyszły minister nie będzie mógł powiedzieć iż zostało to poddyktowane od zewnątrz.”

„To jest wyróżniające się znaczenie polityczne tego układu z żydowskiego punktu widzenia, lecz ma on także znaczenie ekonomiczne, które Żydzi życzliwie witają. Przez usunięcie wielu przeszkód ekonomicznych i przez uproszczenie stosunków handlowych oba kraje przedstawiać będą o wiele większe możliwości dla żydowskiej zręczności i wysiłku w tych dziedzinach”.

PRZYSZŁOŚĆ ŻYDÓW PO WOJNIE

W tygodniku *The Jewish Standard*, który jest organem Żydów syjonistów-rewizjonistów w Londynie, ukazał się pod datą 23 stycznia artykuł, z którego wyjmujemy wstęp. Autorem artykułu jest p. Harry C. Schnur.

„Zagadnienie żydowskiej odbudowy po wojnie nie może być oddzielone od ogólnego zadania odbudowy zniszczonego kontynentu Europy, przed którym stanie Konferencja Pokojowa. Nie potrzeba, niestety, podkreślać, iż naród żydowski, połowa którego (ośm milionów) jest teraz pod jarzmem niemieckim, ucierpiał najwięcej ze wszystkich. Nie tylko zostali tam Żydzi wyrugowani ze wszystkich obszarów, na których osiedlili się przed wojną, lecz dostarczyli także największej liczby uchodźców. Podczas gdy inne podbite narody, chociaż cierpiące, przywrócić uporczywie do ziemi ojczystej, co najmniej milion Żydów wypędzony został z ich dawniejszych krajów: część z nich deportowana została do ghetto, inna część, której udało się uciec z kontynentu, tworzy teraz ową rozległą armię uchodźców, którzy ani nie będą mogli zapaść na stałe korzeni w większości krajów uchodźstwa, ani też im się na to nie pozwoli.”

„Ani też nie będą mogli powrócić do krajów, które opuścili. Wyrugowanie ich nie stworzyło przecież ekonomicznej pustki. Ich stanowiska zostały zajęte nie tylko przez Niemców, ale także przez Czechów, Słowaków, Francuzów i wielu innych. Powrót ich do dawniejszych stanowisk byłby możliwy tylko przy użyciu siły. I żaden rząd, jakkolwiek liberalny, nie może sobie pozwolić na narzucenie niechętniej ludności dużych mas powracających uchodźców. Nie mamy racji do żywienia poglądu, że antysemityzm — który nie został wynaleziony przez Hitlera — zniknie razem z nazistowskim systemem. W wielu krajach europejskich jest on endemiczny: jest on tam wynikiem raczej różnic rasowych i tarć ekonomicznych, niż doktryn ideologicznych. Wszelki masowy powrót żydowskich uchodźców do ich dawniejszych krajów spowoduje w sposób nie do uniknięcia nowe tarcia i wzrost tendencji szowinistycznych i faszystowskich. Dlatego ewakuacja milionów Żydów w strefę bezpieczeństwa, do ich kraju rodzinnego Palestyny, narzuca się jako jedyne rozwiązanie praktyczne tego szczególnego aspektu zagadnienia uchodźców.”

Rozumie się samo przez się, iż ten rodzaj ewakuacji byłby całkowicie dobrowolny. Wszyscy ci Żydzi — a nie będzie ich bardzo wiele — którzy by zaufali uczuciom humanitaryzmu, demokracji i filosemityzmu Węgrów, Rumunów, Bułgarów i Polaków, mieliby pełną swobodę takiego postępowania. I wszelkiego rodzaju „przywódcy”, którzy im udzielać rad w tym kierunku, będą musieli załatwić to ze swoim sumieniem, jakiegokolwiek by sumienie posiadać mogli”.

KONIECZNOŚĆ ŻYDOWSKIEJ EMIGRACJI Z EUROPY

P. Jakób Lestchinsky, obecnie jeden z kierowników Instytutu żydowskiego w Nowym Yorku, znany zresztą żydowski pisarz i statystyk, zamieścił w organach żydowskich w Ameryce i w Australii artykuł o konieczności emigracji żydowskiej z Europy, który z kolei przedrukował *The Polish Jewish Observer* w Londynie w jednym ze swoich numerów styczniowych. Uwagi p. Lestchinsky'ego są bardzo ciekawe.

Wychodzi on z założenia, po pierwsze, że proces emigracyjny obejmie także i nie-żydów, a powtórę, że nie może być porównania między obecną grozą położenia Żydów europejskich, a ich sytuacją po wojnie poprzedniej. Obecnie nęda jest stokroć gorsza, (objętych nią jest nie paręset tysięcy Żydów, ale pięć milionów), zaś getta i wypędzanie ludności żydowskiej z dotychczasowych siedzib wytworzyły u Żydów taki kompleks odrady do krajów prześladowania, że w masach żydowskich narasta jedno tylko marzenie: wyjść z Europy: "There is no shortage of Jews anxious to leave Europe", zauważa autor. Nawet zmiana ustroju społecznego, nawet reżim socjalistyczny nie wyleczyłby ran żydowskich w stopniu takim, aby umożliwić wszystkim Żydom pozostanie w Europie". Sytuacja jest taka, że nawet po alianckim zwycięstwie — hasłem Żydów będzie: "Save us from Europe", wybawcie nas od Europy! Tylko dokąd iść?

Tu znów nie można obecnych stosunków porównać do tego co było po 1918 r. Należy pamiętać, że 272 tysiące Żydów europejskich wpuszczono do Stanów Zjednoczonych w latach 1921-1924, zanim więc utworzono emigracyjną barierę i kwotę. Jeśli dodać do tego Kanadę, Argentynę, Południową Afrykę, a także (!) Palestynę, należy obliczyć emigrację żydowską z Europy, po tamtej wojnie na 400 tysięcy.

Ale teraz są warunki zgola inne: daleko większe rzesze żydowskie czekają na emigrację a daleko mniejsze zdają się być możliwości! Wszakże istniała wtedy i wewnętrzna europejska emigracja z Rosji do Niemiec, bardzo wówczas dla Żydów gościnnych, a też do Francji i Anglii, nieco mniej, ale też gościnnych. Teraz nie chce Żydów nikt. "Żydzi mogą stanąć przed koniecznością opuszczenia wszystkich krajów Europy. Nie licząc Rosji Sowieckiej, 5 milionów Żydów europejskich będzie zniewolonych do szukania schronienia gdzieś indziej."

Jakież rozwiązanie? Autor przyznaje, że nie ma dotąd odpowiedzi na to zagadnienie, z czego nie wynika, by się nim nie zajmować i to poważnie. "Znaczącyby to, że jesteśmy gotowi skazać setki tysięcy Żydów na wymarcie".

Sam p. Jakób Lestchinsky daje projekt jeden tylko pod koniec artykułu, i to pod postacią apelu do swych pobratymców. Żydów anglo-saskich:

"Trzeba silnie wierzyć, że miliony Żydów żyjących w obu Amerykach i w Imperium Brytyjskim, zażywających tam swobody i dobrobytu, obmyśla drogi i sposoby ocalenia swych braci z europejskiego piekła".

The Polish Jewish Observer zamieścił ten artykuł zapewne ze względu na Żydów obywateli brytyjskich, czytających jego łamy, gdyż *The Polish Jewish Observer* jest tygodniowym dodatkiem do londyńskiego czasopisma *The City and East London Observer*.

PRZEMÓWIENIE SUMNER WELLES'A

W jednym ze swoich styczniowych numerów londyńska *The Jewish Chronicle* zamieszcza w sprawozdaniu z zebrania przedstawicieli społeczności żydowskiej w Wielkiej Brytanii m.i. taki ustęp o problemach żydowskich:

"Mówiąc o międzyamerykańskiej konferencji żydowskiej, odbytej w listopadzie w Baltimore (o czym była mowa w sprawozdaniu) przewodniczący (prof. S. Brodetsky) oświadczył, że mowa wygłoszona wtedy przez p. Sumner Welles'a, podsekretarza stanu Spraw Zagra-

nicznych U.S.A., była wypowiedzeniem się w imieniu tego wielkiego kraju. Zwraca on — przewodniczący — szczególną uwagę na wzmiankę uczynioną przez p. Welles'a co do praktycznych kroków, które by były wyjęte po tej wojnie w celu zaradzenia problemowi wielkiej liczby bezdomnych Żydów, a także innej bezdomnej ludności z Europy, dla których musiałyby znaleźć się możliwości osiedlenia. P. Welles mówił szczególnie o wielkim dziele, którego można by dokonać w Palestynie, a także i o innych metodach, których należałoby użyć do tego celu".

FEDERALIZMY I FEDERALIZACJE

W miarę jak rosną niepokoje wojenne, myśl ludzka, spragniona ustroni, chroni się w sny o idyllach, sielankach i federalizmach. Jeden z dawnych i bliskich entuzjastów Ligi Narodów, Lord Davies, chciałby ją teraz widzieć w nowym, ulepszonym wydaniu federalizmu, takiego przestronnego, uniwersalnego. Panaceum polega na "wchłonięciu suwerenności W. Brytanii i Ameryki" dla sprawy pokoju i dobra świata. O ileżby to było wygodniejsze, gdyby, miast 50 sprzecznych suwerenności państwowych, jakie zasiadały w Genewie, można by doprowadzić tylko do meetingu niewielu federacji i jedna obejmowałaby świat mówiący po angielsku, druga Stany Zjednoczone Europy, trzecia Sowiety, czwarta federację południowo-amerykańską, no i jeszcze jedna czy dwie objęłyby Azję daleką i bliższą...

Z tymi pomysłami, stanowiącymi Utopię naszego XX-o wieku, rozprawia się "The Truth" (No. 3412) w następujących uwagach:

"Nie mamy jak dotąd żadnego oczywistego dowodu na to, iżby jakikolwiek Amerykanin zapragnął stać się poddanym Króla Jerzego, ani też aby wielu Brytyjczyków pragnęło zamienić wierność dla Korony na przyjemność stania się republikanami pod prezydenturą polityka, angielskiego czy amerykańskiego pochodzenia. Nawet gdyby się tak działo, jeszcze nie bardzo widać — jaki system imigracji i naturalizacji panowałby w nowej Federacji, ani kto i jak by zawiadywał jej finansami. Co zaś do Zgromadzenia, któreby "załatwiało wszelkie spory", przykład Genewy nie jest zbyt zachęcający..."

Głównym zagadnieniem przy każdej federacji jest oczywiście sprawa suwerenności narodowych. "Nie można nikogo potępić za uprawianie nadziei i marzeń o przyszłej federalizacji. Sam p. Churchill w swych waszyngtonskich mowach do tego zachęcał. Będzie to jednak zawsze nadzieja, która dla jednych będzie grozą, a dla drugich niewykonalnością (impracticability) na czas długich jeszcze pokoleń. Przygotowywanie takich papierowych schematów obracających się około porzucenia narodowych suwerenności jest, na polu spraw międzynarodowych, ćwiczeniem tak właśnie niebezpiecznym, jak to drugie, polegające również na papierowych schematach, kręcących się około porzucenia, na polu gospodarczym, wszelkich indywidualnych i handlowych suwerenności. Przedwczesne uprawianie takich schematów może tylko wprowadzić błąd i wiarę, że ludzkość gotowa jest do drastycznych przemian. W rzeczywistości ludzkość tej gotowości wcale nie wykazuje."

Weźmy jeden przykład tylko i stosunek Unii Sowieckiej do Unii Europejskiej. Jakież właściwie jest i będzie stanowisko Rosji?

"Kipling zauważył już bardzo dawno, że Rosja jest najmłodsza w świecie osoba, jak długo pozostaje najbardziej zachodnim z wschodnich narodów: wszystko się jednak zmienia z chwilą, gdy Rosja podkasuje koszulę i pretenduje do roli europejskiej... Jednakowoż trudno sobie wyobrazić, by nowoczesna Rosja nie należała o uznanie jej jako jednego z kierowniczych (leading) mocarstw europejskich. Jakaż wtedy będzie pozycja krajów Skandynawskich? Czy Norwegia i Dania powołają się na kuzynstwo z "światem mówiący po angielsku"? Czy też będą woleć Unję europejską? a może będą pochłonięte przez Sowiety?"

Są zresztą i inne pytania: czyje sankcje będą potrzebne dla położenia kresu poszczególnym suwerennościom? Jak te sankcje

będą mogły być uzyskane? etc. etc. Pytania takie, owe "czy," owe "jeśli," owe "ifs" można by mnożyć bez końca.

Uwagi swe kończy *Truth* taką dobrą radą pod adresem wszystkich światłych i sprawnych mózgów współczesnych:

"Byłoby stanowczo lepiej, gdyby wszystkie mózgi pierwszej klasy, a też i drugiej klasy, które się teraz zajmują przygotowywaniem podobnych schematów, zmusiły się do znacznie pilniejszego zadania, a mianowicie, jak osiągnąć zwycięstwo nad Osią, bez którego to zwycięstwa wszelkie ich plany i schematy okażą się zaiste i pienne i czcze."

W tej krytyce niewczesnych pomysłów ogólnych, świat obejmujących, federalizmów widzimy wyraz przekonania, iż umowy federalne — o ile mają być realne i trwałe — winny być regionalne i odpowiadać uchwytynym potrzebom. Tylko takie budowanie od dołu może mieć pewne gwarancje stałości. Budowanie od szczytów — jest i musi być jeno igraszką.

CLEMENCEAU, FOCH I NAPOLEON

Obecna doba zmiennych nadziei i przeobrażeń wojennych nasuwa znakomitą publicystę Wickhamowi Steedowi na łamach lutowej *Contemporary Review* szeregi retrospektywnych wspomnień z okresu poprzedniej wojny i Wersalskiego Kongresu. Zestawia znane złośliwości wymieniane przez wielkiego cywilnego ministra wojny Clemenceau i jego wojskowe ofiary. "Wojna jest zbyt poważną sprawą, by można powierzyć ją wojskowym" — mawiał Clemenceau. Na co wojsko odpowiadało, że "pokój to zbyt serjo business, — by go można powierzyć politykom i dyplomatom."

Foch "jeden z największych żołnierzy wszystkich czasów," pogodził te dwa zdania w rozmowie, jaką miał ze Steedem w roku 1921. Była to rocznica śmierci Napoleona i rozmowa była o nim. Dlaczego Napoleon upadł? "Napoleon zapomniał, mówił Foch, że człowiek nie może być Bogiem, że ponad jednostką jest Naród, że ponad człowiekiem jest prawo moralne, że, wreszcie, wojna nie jest najwyższym celem, bo ponad wojną jest Pokój."

I ma rację Steed, że tak mówiąc, wielki Foch przewidywał i potępił Hitlera i hitleryzm.

Z wydawnictw:

NOWA POZYCJA W LITERATURZE O "ORLE"

Eryk Sopoćko: "Orzel's" Patrol. *The Story of the Polish Submarine*. (Methuen and Co. London). 1942. 5s.

Książka por. Sopoćki zbiera znane z artykułów i wzmianek w gazetach epizody bohaterskich przygód "Orla" w jedną całość. Nie jest jednak suchym sprawozdaniem — jest opowieścią. I to opowieścią rzeczy nie tylko zasłyszanych, lecz i przeżytych — bo por. Sopoćko był jednym z członków załogi.

Te epizody, w których autor sam udziału nie brał, podał w formie sprawozdania. Sprawozdawczo więc, lecz z wieloma interesującymi szczegółami, ujął losy "Orla" od chwili opuszczenia Gdyni aż do przybycia do Anglii, zatrzymując się dłużej nad opisem ucieczki z Tallina.

Natomiast dalsza historia wiąże los "Orla" ściśle z losem autora — jest to historia jednej wyprawy, stanowiąca właściwy temat książki. Bezpośredniość i prostota opisu pozwalają czytelnikowi poznać nie tylko tryb życia i pracy na łodzi podwodnej, ale i wnikać w psychologię jej załogi, w nastroje zmieniające się w błyskawicznym nieraz tempie — zależnie od toczących się wypadków — od grozy i zupełnie ludzkiego uczucia lęku, poprzez odrętwienie — aż do beztroskie go humoru. Brak zupełnie koturnowości — ale właśnie dlatego, że załoga "Orla" podlega wszystkim ludzkim uczuciom, że zna nawet uczucie strachu, można ocenić jej bohaterstwo — w imię obowiązku i miłości ojczyzny. O

tych sprawach załoga "Orla" nigdy nie zapomina, choć żyje ciągle oko w oko ze śmiercią.

Opowieść obfituje w wiele interesujących szczegółów, podanych plastycznie i żywo. Zainteresuje niewątpliwie angielskiego czytelnika, tak przez swój ścisły związek z morzem, jak i przez szereg barwnych, pełnych humoru scen obrazujących zetknięcie się dwóch odrębnych narodowości — Polaków z Anglikami. Dla Polaków będzie cenną pozycją w dość bogatej już dziś literaturze o niezapomnianym, bohaterskim "Orle." (s)

Z kroniki żałobnej:

ŚP. HENRYK OPIEŃSKI

Śmierć wykreśliła z zespołu znakomitych i zasłużonych pracowników kultury polskiej znowu jedną z ważnych pozycji. Zmarł Henryk Opieński, wybitny muzykolog, subtelny artysta i dobry, zacny, człowiek. Przyjaciel Wyspiańskiego i Paderewskiego swą działalnością artystyczną pomnażał dorobek sztuki polskiej w okresie, w którym szereg wielkich nazwisk wielkich artystów dokumentował żywotność kultury polskiej — bezpośrednio przed renesansem naszego życia państwowego. Działal w Krakowie i w Warszawie przed pierwszą wojną światową. Wtedy powstaje jego piękny poemat symfoniczny "Zygmunt August i Barbara", wtedy do słów Malczewskiego pisze operę "Maria," wtedy dzieło o Chopinie i Historia Muzyki dają świadectwo jego wybitnej wiedzy muzykologicznej. W czasie wojny 1914-1918 tworzy swój znakomity zespół chóralski "Motet i Madrygal" w Szwajcarii i ten fragment długiej oraz bogatej pracy Henryka Opieńskiego może najlepiej uzewnętrznić jego dyspozycję psychiczną do muzyki dawnej, pełnej powagi, klasycznego spokoju, oderwanej od silnych emocji modernizmu.

Po 1918 roku oddaje swą pracę na usługi budowania życia muzycznego Polski Odrodzonej. Zbiera profesorów, zwalcza tysiące trudności technicznych i organizacyjnych, przełamuje opory finansowe i tworzy w Poznaniu wspaniałą placówkę, w założeniu konserwatorium, a właściwie szkołę o poziomie Akademii Muzycznej. Jest duszą tej instytucji. Otwiera w niej klasę operową, inicjuje klasę kapelmistrzowską. Z jego szkoły wychodzą dwaj znani dyrygenci młodego polskiego pokolenia: Zygmunt Latoszewski i Mieczysław Mierzejewski. On inspiruje działalność setek zachodnio — polskich Kół śpiewaczych. Współdziała nad tworzeniem opery poznańskiej i jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej pod jego wpływem i przy udziale Adama Dołżyckiego, którego ściga do Poznania, zaczyna na ziemiach zachodnich pulsować bogate życie muzyczne. Bogata biblioteka partytur Opery i Konserwatorium w Poznaniu, zrabowana teraz przez Niemców, na równi z historią tych pięciu owocnych lat poznańskiej pracy Opieńskiego świadczy, jakim kłamstwem są tezy Goebbelsa, Greisera i Franka, że kultury polskiej nie ma.

Po 1925 roku Opieński wraca do Szwajcarii i tu, w Morges, w stałym kontakcie z Paderewskim, pełni pracownicę i owocnie rolę propagatora muzyki polskiej zagranicą i rolę mecenasu młodych polskich talentów muzycznych. Od czasu do czasu zagląda do kraju. W 1938 roku bawi w Poznaniu i jest świadkiem wielkiego festiwalu muzyki polskiej, zorganizowanego przez jego dawnych uczniów. Widzi owoce swej pracy pedagogicznej, ale już drży o przyszłość kraju. Subtelna intuicja człowieka o głębokiej wrażliwości i dużą znajomością stosunków zagranicznych wyznacza nawałnicę, gromadzącą się na naszej zachodniej granicy. Boleje — mówiąc ciągle o Paderewskim — nad rozbiorem wewnętrznym społeczeństwa polskiego i zaraz ucieka — jakby odpędzając złe przeczucia — do dyskusji o chorałach, kantatach czy o tematyce swego "Syna Marnotrawnego."

Zmarł kompozytor, którego dzieła zasługują na to, aby nigdy nie były zapomniane w dzia-

W 5-ą rocznicę zgonu
ś. p. Henryka Rossmana
współzałożyciela i przywódcy
Obozu Narodowo-Radykalnego
b. więźnia Berezy Kartuskiej

w 2-gą rocznicę zgonu
ś. p. Dr. Tadeusza Gluzińskiego
b. redaktora "A.B.C."

oraz

za dusze poległych na posterunku
w walce z zaborcami licznych
**PRZYWÓDCÓW, DZIAŁACZY
I CZŁONKÓW O.N.R.**
którzy w służbie dla Polski złożyli
swe młode życie na Jej ołtarzu

odbędzie się w dniu 24 lutego b.r.

nabożeństwo żałobne

w Londynie w Kościele Polskim na
Devonia Rd. i w jednym z miast
w Szkocji.

Wszystkich przyjaciół, sympatyków
i życzliwych prosi o łączność w tym
dniu w modlitwie
Komitet O.N.R. na Emigracji.

łańności polskich muzyków, zmarł człowiek, który umiał polską kulturę muzyczną organizować i nieść w masy, zmarł pedagog nieraz bardzo surowy, którego dobre oczy na równi z obywatelskimi wskazaniem pozostały dla jego uczniów drogowskazem nawet wtedy, gdy zbiegli z drogi muzycznej kariery w zacisze domowego — muzykowania.

Niech odpoczywa w spokoju.

J. W.

Listy do Redakcji:

ZAKAZ SPRZEDAŻY BROSZURY

Do redaktora, "Myśli Polskiej".

Dn. 30 stycznia b.r. Prezydium Rady Ministrów wydało zakaz sprzedawania mojej broszury p.t. "Cała prawda" prywatnemu kioskowi sprzedaży książek i broszur, umieszczonemu w Stratton House. Nie zajmując się na tem miejscu stroną prawną tego zakazu pozwałam sobie zwrócić uwagę moim czytelnikom, że broszura "Cała prawda" jest do nabycia w Anglii zarówno w sklepach Kolina jak i we wszystkich angielskich sklepach i kioskach sprzedających książki i czasopisma polskie.

STANISŁAW MACKIEWICZ.

OD REDAKCJI

Zamieszczone na str. 335 wiersze Józefa Łobodowskiego "Dublany" i "Niepokonani" dostały się w posiadanie Redakcji M.P. nie bezpośrednio od autora, który nie przebywa we Wielkiej Brytanii. Wiersze to zostały ogłoszone w jednym z pism obozowych w obozach polskich żołnierzy we Francji na przełomie 1940 i 1941 roku. Redakcja "Myśli Polskiej" przedrukowując te wiersze, chciała utrwalić dwa wartościowe utwory polskiej poezji wojennej, ogłoszone pierwotnie w piśmie odbijanym na powielaczku.

OD WYDAWNICTWA

Wydawnictwo "Myśli Polskiej" dziękuje wszystkim swoim Przyjaciołom, którzy materialnie pismu pomagają. Z równą wdzięcznością wspominamy tu zarówno te osoby, które dają po kilka funtów miesięcznie, jak i te, które dzielą się z nami posiadanymi szylingami. Osobno jednak Wydawnictwo dziękuje Pani, która przesłała funta uskładanego ze specjalnego zarobku szyciem, w tym celu przedsięwziętym. Wydawnictwo podtrzymuje swój apel o pomoc pieniężną, gdyż warunki pracy są ciężkie, a konieczność jej nie ulega żadnej wątpliwości.

DO ARCHITEKTÓW

Komitet Organizacyjny Stowarzyszenia Architektów Rzeczypospolitej Polskiej w Wielkiej Brytanii, po uzgodnieniu z Władzami Polskimi, przystępuje do organizacji Stowarzyszenia.

Komitet apeluje do wszystkich Inżynierów Architektów — członków Ś.A.R.P. oraz Wydziałów Architektury Politechniki Warszawskiej i Politechniki Lwowskiej do listownego zgłaszania swych personalii pod adresem kol. Jana Polnińskiego, 41, Saughtonhall Drive, Edinburgh.

Kard. Hlond: O chrześcijańskie zasady życia państwowego, cena 6d.

Tomasz a Kempis: O naśladowaniu Chrystusa. Książki cztery.

Nowy Testament. Cena obu tych książek wynosi: szyl. 10 i szyl. 7, zależnie od jakości oprawy.

do nabycia w Firmie:

F. Mildner & Sons, Herbal Hill, London, E.C.1.

(W tej samej Firmie ukażą się wnet Encykliki: Leona XIII o sprawie robotniczej "RERUM NOVARUM" i Piusa XI o odnowieniu ustroju społecznego według zasad ewangelicznych "QUADRAGESIMO ANNO").

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres Redakcji:

92, Eamont Court, Regents Park, London, N.W.8. Tel.: PRIMrose 4350.

Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 4s. 6d. lub \$1.50

Prenumerata półrocznie (12 numerów): 9s. lub \$3.